Nr. 20. 17. Lipca 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

KRZYKACTWO A NAUKA.

Nie widzim potrzeby określać tu naszym czytelnikom co jest właściwie pismiennictwo, co są nauki, co oświecanie narodu? jakie łączy ono w sobie warunki w ogólności, i jak je w szczególności pojmujemy. Każdy po krótkiem zastanowieniu odpowie sobie na te pytania, i łatwo zgodzi się z nami w tej mierze.

W naukach wykrywają się prawdy dotąd nieznane, wyjaśniają wątpliwe, wyprowadzają z nich wnioski i robią zastosowania. Aby prawdę jaką wydobyć na jaśnią trzeba wejść w siebie głęboko, skupić w sobie wszystkie promienie ducha, i tem głębokiem zastanowieniem, tą pracą duszy wypielęgnować, iż tak rzekniem, plon któryby choć drobnem ziarnem przymnażał bogactwo duchowe narodu, i służył ku jego pokrzepieniu. Podać mu też go należy w formie, ile być może, przystępnej aby był istotnem jego pokrzepieniem; podać spokojnie, z zaparciem niejako swojej osobistości, jednem słowem, podać tak, iżby się czytającemu prawdy te raczej we własnej duszy odsłonione a nie narzucone zewnątrz wydały: tak bowiem tylko pójdą one na największy jego pożytek.

Każdy tu widzi że w takiem działaniu warunkiem głównym jest spokój a nie namiętność, swoboda a nie gwałtowność i przymus, skromność a nie nadętość i duma, głos naturalny, głos ludzki, nie wrzask, krzyk groźby lub klątwa.

Im głębiej człowiek wszedł w siebie, tym mocniej uczuł i pojął jaśniej, jak drobny jest cały zasób wiedzy i zdolności jego w obec potęgi tej, która tak losem jego jak i narodów kieruje; uczuł i pojął że wszystka mądrość ludzka jest tylko słabym owej mądrości wiecznej odbłyskiem, który według wzmagania się swego między ludźmi, dźwiga ich z upadku i niedoli, i coraz bardziej zbliża ku bóstwu. To przeświadczenie, ta wiara w zbawienność światła, jako daru bożego, budzi w nim chęć przyczynienia się według sił swoich do coraz większego rozniecania nauki, bo tylko tą drogą dojść może z pewnością tak człowiek pojedyńczy jak i narody całe do wzajemnego porozumienia, do wzajemnego poważania się, do uznania praw jakie każdemu z natury przynależą, i zwrócenia ich tym którzy je utracili. W takiemto przeświadczeniu jeśli pisarz weźmie pióro do ręki, ozwie się z godnością jaka przedmiotowi temu należy, i można być pewnym że praca jego tylko na pożytek bliźnich zostanie skierowaną. Któregokolwiek przedmiotu dotknie dotknie go tak że po słowach jego stanie się jaśniejszy, i bogactwo duchowe narodu wzmoże się. Jeśli uzna że to lub owe dzieło, aczkolwiek narodowi pożądane, celowi jednak swemu nie odpowiada; on zaś ma siły po temu, napisze inne i niem się ziomkom przysłuży. Jeśli dostrzeże wady w dziele rażące, które poprawione być mogą, wytknie je w sposób naukowy, wykazując zasadę dzieła, przyczynę wad i jak ich na przyszłość uniknąć, za co i autor wdzięczen mu będzie, i naród przyzna zasługę. W wykładzie takim odbije się, mimowolnie nawet, i cel i usposobienie w jakiem znawca ten wziął pióro do ręki, i zasłaniać się on od podejrzeń nie potrzebuje. Nie będzie się więc uciekał do form i wyrażeń biblijnych, lub wyznań takich które do wewnętrznych obowiązków chrześcijanina należą. Pierwsze zostawi kościołowi, bo niebaczne niemi w pismach literackich szafowanie winnego religii uszanowania nie powiększa; tem mniej też zadziwi czytelników drugiemi, przypominając im słowa celnika: modliłem się! biłem się w piersi! spowiadałem się! Wie on że i najuroczystszym zaklęciom nikt nie da wiary, jeśli tego dowodnie rzecz sama nie ukaże, jeśli z dna jej wygladnie próżność, a z pod słów mniemanej skruchy i pokory wysterknie duma rogata. Nakoniec nie będzie wykrzykiwał: oto ja to tylko pojąć umiałem! bo sąd o tem nie do niego należy. Dar taki pisania o jakim tu mówimy, z dokładną znajomością przedmiotu, ze świadomości sił swoich i źródła z którego płynie jedyne ich pokrzepienie, jak jest wysoko cenny czy to w poezyi czy w naukach, tak też i wielce pożądany. Starać się tedy o niego usilnie i przedewszystkiem powinien każdy, ktokolwiek w imieniu nauki, w imieniu oświaty i moralności do narodu się odzywa. Nazywają go natchnieniem, namaszczeniem, kapłaństwem; my go nazwiem po prostu pisarskiem uzdolnieniem.

Tymczasem jak we wszystkich ludzkich zawodach, tak i w zawodzie naukowym dzieją się nadużycia, a dzieją z różnych pobudek. Bywa ich źródłem niekiedy czysta, naiwna nieświadomość, a o takich tu mówić nie będziemy; bywają znowu różne narowy i ułomności ludzkie: zawiść, złość, obłuda, podejrzliwość i miłość własna aż do ostateczności rozbechtana. Opisywać te wszystkie pojawy, i przyczyny ich wykazywać na całej przestrzeni na której pismiennictwo polskie dziś ukazuje się, nie mamy teraz na celu, dotkniemy tylko niektórych główniejszych rysów z tego co przed naszemi oczyma się dzieje.

Nauka wymaga pracy, ciężkiej duchowej pracy, a plon jej materyalny nie zawsze wielkości jej odpowiada. Ci co szczerze ukochali naukę, chętnie zniosą dla niej niedostatek i wszelkie poświęcenie, aż dopokąd nie dopną tego, co sobie zamierzyli, co dla narodu swego najpotrzebniejszem, najchlubniejszem uznali. Nie zbywa wszakże i na takich, którzy pokochali plon jaki niekiedy nauka z sobą przynosi, a pracować nie lubią; przemyśliwają więc dzień i noc nad tem jakby trudem jak najmniejszym, zysk jak największy osiągnąć. Ludzie tacy najczęściej uczyli się mało, a niczego dobrze się nie nauczyli; przez długi bardzo przeciąg czasu zbijali bąki, a poźniej diletantyzmem się bawili. Chwyciwszy się ni ztąd ni z owąd zawodu literackiego radziby wmówić w świat cały, że poważne nauki na, nic się nie przydadzą, że studya głębsze i praca talent wrodzony zabijają. Młodzieńcowi więc któryby im zaufał, i w celu rozwinięcia wrodzonych swoich zdolności, szedł za ich skazówkami, gotowi poddać radę: iżby patrzył w północ na gwiazdy, dumał śród borów, błąkał się w stepach, piął po górach, nie czytał nic lub bardzo mało, unikał ludzi, szczególniej takich co się bądź publicznym, bądź też innym obowiązkom z sumiennością oddają; a będzie wielkim, samorodnym poetą; mędrcem najpożyteczniejszym swemu narodowi. Według rozgłaszanych przez nich wyobrażeń, cały krąg nauk ludzkich dzieli się na postępowe i wsteczne: do ostatnich należy wszystko to czego się oni nie uczyli, a w postępowych znowu najpotrzebniejszą, najzbawienniejszą cząstką dla narodu jest to, co oni sami bliżej nieco poznali. Reszta zaś tychże postępowych nauk, w której mniej są świadomi, może być wprawdzie także pożyteczna ludzkości, ale dopiero kiedyś, pod koniec świata. Mając przed sobą niewielki zakres nauki, wyskakują raz po raz w rozmowach swoich i pismach poza jej obręb. Pojęli oni to dobrze, że w naturze ludzkiej czynniejszy jest bodziec ciekawości niżli bodziec nauczania się, starają się więc do rzeczy niby literackich przyczepiać od czasu do czasu choćby najlżejszy skandalik, wiedząc że tym sposobem nie braknie im czytelników ciekawych, rzemiosło pójdzie jak z płatka i cel osiągnięty zostanie. Najradziej jednak uderzają w politykę: tu walne pole popisów, żer ulubiony ich myśli i główny punkt jej grawitacyi. Jeśli tedy dowody z literatury zaczerpnięte do przekonania kogo o wielkości ich nie wystarczają, poprą je wykładem politycznych konstellacyj, a żarem strzelistych dla ludzkości uczuć zwycięztwa dokonają. Na polu walki nikt ich wprawdzie nie widział, to wszakże nie przeszkadza, że w mniemaniu swojem są bohatyrami, a nikt tak narodu nie kocha jak oni. Bylić wprawdzie inni (tego niezaprzeczają) i na polu walk, i w literaturze niecoś dobrego zdziałali; ale dziś są to ludzie wsteczni, egoiści, niedołężniki, odstępcy.

Zaledwie możnaby dać wiarę że się takie zdania, takie wyobrażenia od nich między młodzież puszczają, gdyby się takowe o własne nasze uszy nie odbijały, a w części nawet i do pism publicznych nie przeszły.

Nie przeczymy iżby ludzie tacy nie mieli zdolności, ale zdolnością ich główną jest to co zwiemy sprytem, obrotnością, krętarstwem. Nie twierdzimy iżby nie mogli być krajowi użyteczni, lecz użyteczni a nawet pożądani mogliby być dopiero wtedy, gdyby przyjęli za hasło postępowania swego, uczciwość, obłudy i przewrotności się wyrzekli, a szczerze wzięli do pracy.

Znajdziesz na temże polu i ludzi talentu wyższego, którym jedna lub druga praca, mniej lub więcej udana, poklask zasłużony zjednała. Wszakże poklask ten zamiast być bodźcem do coraz znakomitszych i prawdziwie użytecznych narodowi utworów, pochlebstwami powiększany, sprawił im zawrót głowy, i stał się powodem dziwnego omamienia. Oto gdy zaledwie na szczeblu nieco wyższym stanęli, zdaje im się, że są u szczytu, że im bardzo mało brakuje aby się zrównali z najpotężniejszymi; a mają to sobie za dowód wielkiej pokory, i rodzaj poświęcenia z swej strony, jeśli jednego lub drugiego z pisarzów, co się długą i wytrwałą pracą odznaczyli, co przez większą część życia łamali się z niedostatkiem i nędzą aby od czasu do czasu przyczynić się nowem dziełem do sławy narodu; jeśli takiego w prawdziwem czy też udanem znaczeniu, imieniem mistrza i przewodnika swego uraczą. Bez nauki, z wychowaniem niesłychanie zaniedbanem którego niedostatków własnemi studyami zapełnić należycie dotąd nie postarali się, porywają się do sądu, i wpadają w dziwne wybryki. Zamiast powiedzieć myśl swoją Polakowi prosto, dobitnie a zrozumiale, rozpędzają się raz wraz, jakby dla popisu, do figur dzikich i hiperbol w których, według nich, tkwi wielka jasność i piękność. Brak zasad osłaniają uczuciowością, ubóstwo myśli brzmiącemi okresami. Wyobrażenia z pierwszych kart pisma świętego pochwytane plątają z bałwochwalstwem, niekiedy w sposób arlekiński. Moc z nauki Chrystusowej wydobytą hartuje Plutarch; objawieniom nadaje szczyt i koronę Towiański. Obok trąby Jozuego ujrzysz w ich ręku piorun Jowisza, i młot Wulkana. Nito wieszczkowie, ni prorocy starego zakonu, wstępują na trójnog wieszczbiarski, wytężają głos tak, że mu już, już tonu wysokości zabraknie, i z szamotaniem się, chrypką i zgrzytem ogłaszają straszne wyroki.

Do takich i tym podobnych literatów odzywam się dziś, i odezwę raz drugi i trzeci, że czas jest aby głębiej w siebie wniknęli, aby rozpędzili mgłę która im istotę własną przed ich oczyma zakrywa, aby się rozpatrzyli lepiej i w siłach swoich i w tem co dotąd zdziałali, i jeśli im rzecz narodu istotnie tak gorąco leży na sercu, zaprzęgli się do pracy użytecznej, przemówili do narodu czynami, a lekkim chlebem rozgłośności imienia swego nie szukali.

Niech pamiętają, że nie jeden lub drugi literat, według swego widzimisię, ale ogół przez właściwe organa może kiedyś stawić pod pręgierz imiona tych, co w chwilach najkrytyczniejszych, w chwilach prób ciężkich i doświadczeń nie umieli uszanować godność narodu w tem co mu jedyne pozostało: w życiu du-

chowem; co rzetelną zasługą rodaków własnych z największą lekkomyślnością pomiatali; co młodzież na której cięży ważny, piękny, ale zarazem trudny obowiązek zastąpienia kiedyś dzisiejszych pracowników, tę mówię młodzież niedowarzonemi konceptami głowy swej bałamucili i od nauk gruntownych odstręczali, a obronę zdań własnych i przeświadczeń, która w sposób przyzwoity przeprowadzona mogłaby przynieść dla ogółu ważne korzyści, zniżali do krzykactwa, do swarów ulicznych i karczemnych załebków.

August Bielowski.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego

(Ciąg dalszy).

Kiedy się zbudził nazajutrz, słońce letnie grzało już w okna. Na odgłos dzwonka przyszedł służący i przyniósł mu kawę do łóżka.

— Weź to sobie,—rzekł do niego Dobiesław,— ja nie mam zwyczaju jeść, dopóki się nie ubiorę. Czy pan już po śniadaniu?

— Pana nie ma.

— A gdzież jest?

— Pan jeszcze wczoraj wieczór wyjechał.

Wiadomość ta nie pomału zdziwiła Dobiesława. Myślał o niej przy ubieraniu i po ubraniu jeszcze przez całą godzinę — i najdziwniejsze przychodziły mu myśli. Zniecierpliwiony wreszcie około południa do najwyższego stopnia, zadzwonił na służącego i kazał mu się zaanonsować do pani. Wyszedł służący, i wrócił, i rzekł:

— Pani przeprasza, że przyjąć nie może, bo jest słaba.

To jeszcze więcej zniepokoiło Dobiesława — a wtedy już sam Bóg tylko może wiedzieć, jakie mu się nie nasuwały domysły. Może temi myślami grzeszył: ależ wszystko tu było podobnem...

Przecież około godziny drugiej zaturkotał jakiś wózek maleńki przed ogromną wystawą pałacu. To był istotnie Krzesław. Za chwilę wszedł on prędkiemi krokami do pokoju brata i rzekł:

— Przepraszam Cię, żem cię tak długo zostawił samego: ale miałem ważne za domem zajęcia. Przywożę ci zresztą pieniądze, bo dziś jest termin wypłaty...

To mówiąc, wydobył spory pakiet z kieszeni i odliczył na stole trydzieście i dwa tysiące guldenów Oddawszy mu je, zapytał:

— Czy tak?

— Tak... odpowiedział Dobiesław.

— Proszę cię o mój rewers.

Dobiesław oddał mu rewers.

— Bądź łaskaw podpisać na nim, żeś twoją należytość odebrał.

Dobiesław podpisał. Na to Krzesław ukłonił mu się i rzekł:

— Czy każesz sobie jeszcze czem służyć?

Dobiesław patrzał z niemałem zdziwieniem na niego i jego osobliwe obejście się. Była tu pora do bardzo długiej gawędy. Ale każdy ma swoją ambicyę, a tem więcej ktoś taki, który się czuje czystym i zacnym w swojem sumieniu, a widzi piętrzącą się przeciw sobie pychę bydlęcia. Dlatego ominął już wszelką dalszą rozmowę i rzekł tonem suchym:

— Każ mi zaprzęgać.

— Już zaprzężono, — rzekł Krzesław.

— A to tem lepiej! Bądź tedy zdrów! — rzekł Dobiesław, życzę ci opamiętania a przedewszystkiem pokory...

— A ja tobie szczęścia do kupna Grodowisk,— przerwał mu Krzesław szyderczo, wyprowadził przed ganek, ukłonił mu się i zniknął. —

Zastanawiając się nad charakterami tych ludzi, którzy porwani pochodnią zysku ugrzęźli w materyaliźmie, zaprawdę dziwne się nieraz przed nami przesuwają postacie. Takich charakterów nie przynosi nam nigdzie nasza historya, co więcej, na ich istnienie nie zezwala nawet czasem psychologia: są to bowiem amalgamata skomponowane w sposób tak dziwny, tak nowy, tak nawet na pozór sprzeczny, że gdybyśmy mieli tyle talentu, ile potrzeba ażeby je oddać ze źwierciadlaną wiernością, a przez nieudolność naszą nie upodobniali ich znacznie do ludzi, to może-by je okrzyknięto za jakieś niedonoszone pomysły. Wszakże i w takim razie nie było-by się jeszcze czem zafrasować: albowiem na nasze szczęście leży przed wszystkimi otwarta xięga niezaprzeczonego świadectwa, xięga żywego życia — a w obec niej wszelka wątpliwość jest niepodobną. W niej też widzimy żywemi oczyma te dziwotwory XIX wieku, te dusze przedpotopowe, te monstrualne mamuty i mastodonty umysłem i sercem, choć mieszkające w foremnych ciałach epok dzisiejszych. Nazwałem tych ludzi mastodontami: ależbo jest w nich istotnie coś z owych czasów przedpotopowych, kiedy cała dążność ducha tej ziemi ograniczała się tylko na żarłoczności za strawą codzienną, a śmierć zwierząt jednych karmiła swem ścierwem żywoty drugich, — i jest w nich coś z owych czasów późniejszych, kiedy szatan cieleśnie się przechadzał po ziemi i włażąc w kadłuby ludzi, odzywał się z nich rykiem bydlęcym, — i jest w nich wreszcie coś z czasow dzisiejszych, gdzie najpotworniejsze porody, gdzie najdziwniejsze obłędy, gdzie najohydniejsze sprosności ludzkiego ducha, umieją na siebie przybierać postacie gładkie, układne i przyzwoite. Z dziwnie też sprzecznych ze sobą przymiotów składają się zwykle ich charaktery. Niewyczerpana twórczość umysłu na wszystkich drogach utilitarnych: a drewniana jało-

wość we wszystkich innych sferach ludzkiego ducha; żydowska obrotność rozumu tam, gdzie idzie o zyski: a bydlęca głupota w krainie prac i trudów moralnych; brak uczucia, brak religii, brak wszelkiej wiary w ogóle: a ślepa wiara w wszechwładztwo mamony; najniższa podłość we wszystkich czynach mających korzyść na celu: a w wszelkich innych pycha szatańska; na godziny obrachowana rzetelność we wszelkich spekulacyach i przedsiębiorstwach: a mimo to ani krzty uczciwości serdecznej, owszem przeciwnie, piekielna dla wszelkiej serdeczności pogarda: — owóż główne składowe części tych ludzi, których nam czas dzisiejszy coraz więcej przynosi. Wszystko dla siebie a nic dla nikogo, — dopóty istnienia człowieka, dopóki życia na ziemi, — człowiek to świat, a ziemia i ludzkość, naród i społeczeństwo, to tylko rozmaite pastwiska dla niego: to ich religia, to jest ich wiara.

Dobiesław, acz nieraz w swojem życiu praktycznem spotykał się ze sługami a nawet i z kapłanami materyalizmu, nigdy ich nie brał w szczególności na oko, tylko uważał za cząstkowe objawy tego materyalnego prądu, który dziś cały Zachód porwał ze sobą i niesie. A widok ten nigdy go nie przejmował zbyteczną trwogą. W krajach tych bowiem, w których dotąd mieszkiwał, prąd ten wielkiemi bieży strumieniami a ogarniając sobą prace i interesa całych społeczeństw, bieży najczęściej i do celów społecznych. Tego rodzaju prądy ogólne, lubo częstokroć wielkością złego wywołują oburzenie opinii powszechnej, nie dotykają jednak nigdy tak bardzo boleśnie serca jednostek: a to nietylko dlatego, iż widać w nich błędy całych społeczeństw albo całej ludzkości a nie obrzydliwą zwierzęcość naszego brata, człowieka; ale także dlatego, iż wielkość ich grzechów równoważy zazwyczaj choć w części wielkość osięganych przez nie pożytków. Tak n. p. jeżeli Anglia nieprawe wyciąga zyski i z kontynentu i ze swoich kolonii, to przez to bogaci się i potężnieje cały naród angielski; tak jeśli Amerykanie cierpią u siebie ohydną niewolę murzynów, to ta niewola jest jednym z najdzielniejszych środków wzbogacania całego kraju. Są to bez wątpienia kolosalne występki, czasem ogromne zbrodnie; ale już sama ich wielkość, dając im cechę ogólnego obłędu, odbiera im przez to samo przynajmniej pozór obrzydliwości. Są to zresztą owe wielkie grzechy ludzkości, których od początku świata nigdy na tej ziemi nie brakło — a które, jak nas ku wielkiemu dla nas uspokojeniu naucza historya, ustępują zazwyczaj z ogólnym postępem ducha ludzkości. Takiemi grzechami były niegdyś tak głośno wielbione podboje starego Rzymu, mordercze zagony światoburców na Zachód, Xiążęta frymarczący tronami, przywileje rycerstwa, przewagi miast, niewola rolnego ludu... Wszystko to było, wszystko zostawiło po sobie jakieś szkody i jakieś pożytki, i wszystko to swego czasu zniknęło. Z takiego stanowiska uważany, i dzisiejszy prąd materyalny Europy zachodniej jest takim wielkim grzechem ludzkości, który wyrządzi niejedną szkodę, niejeden przyniesie pożytek, i zniknie. Sprzeciwiać mu się stanowczo, mianowicie w tym celu, ażeby go w całości powstrzymać, było-by pracą daremną: choć przed naciskiem jego przewagi, tylko tem skrzętniej zaopatrywać potrzeby serca i ducha, jest bez wątpienia pożyteczną a nawet i najzacniejszą dzisiaj zasługą. Takiego zdania był Dobiesław.

Oprócz tego ogólnego prądu zdarzało mu się także spotykać czasem i pojedyńcze sługi materyalizmu. Widział ich podłość i obrzydliwość; ale istnienia ich wcale sobie nie brał do serca. Znachodził ich bowiem, nietylko po za granicami swojej ojczyzny, ale najczęściej tylko w żydach, przekupniach, faktorach i tym podobnych szachrajach, których zawsze bywało dostatkiem: a lubo ich teraz bez porównania jest więcej, niż było kiedykolwiek, nie widział nic w tem dziwnego. W czasach średniowiecznego rycerstwa roiła się ziemia od giermków i paziów; w czasach scholastycznych od mnichów i mniszek; w czasach przemysłu i handlu roi się od przekupniów i faktorów. Tych ludzi zresztą, bez czci i wiary a goniących tylko za chlebem, widywał on tylko w Europie zachodniej, gdzie wyższe cele narodu mają sług i kapłanów dostatkiem, gdzie przeludnienie jest wielkie i gdzie istotnie chleb bardzo jest trudny i drogi... Lecz żeby w kraju takim, — gdzie właśnie ziemi jest wiele a ludzi mało, gdzie jeszcze ów prąd materyalny nie ogarnął narodu i nawet go tak nie powinien ogarnąć, bo naród ten w wyjątkowem jest położeniu i ma przedniejsze cele przed sobą, gdzie wreszcie właśnie wyższe i moralniejsze cele narodu tak mało mają sług i kapłanów, — żeby w kraju takim i właśnie w tej klasie, która ma chleb gotowy, miał spotykać takie charaktery i takich ludzi: o tem ani zamarzył...

Ale spotkał takiego człowieka na samym wstępie — i znalazł go w swoim rodzonym bracie. To go niezmiernie boleśnie dotknęło; to mu całą duszę zatruło. Jakoż istotnie jak gdyby struty, gorzki na wskróś i nawet mało przytomny, zajechał przed Grodowiską plebanię...

Tymczasem obadwa xięża, którzy go z wielką niecierpliwością oczekiwali, wybiegli ku niemu z otwartem sercem i otwartemi ramiony. Porwali go zaraz z wózeczka, prawie na rękach zanieśli w wnątrz domu i zarzucili od razu tysiącem zapytań. A jak tam? a co tam? czy rzecz skończona? jaki jej ostateczny rezultat? — pytali razem obadwa. Rozjaśniła Dobiesława cokolwiek ta nieudana serdeczność, ale przecież odpowiedział im tylko krótkiemi słowy:

— Pod względem pieniężnym wyszedłem może nawet lepiej, niżeli się można było spodziewać; ale pod względem moralnym nigdy nie spodziewałem się tego, com zastał.

— Cóż tedy? — pytali znowu obadwa.

Nie potrzebując tajemnicy robić przed ludźmi, którzy obadwa od lat najdawniejszych należeli prawie do składu jego rodziny, Dobiesław im opowiedział to wszystko, co znalazł w swym bracie, i z głęboką

boleścią odmalował im jego postać wewnętrzną. Dobiesław go jeszcze nie znał w całości, bo i my go tak jeszcze nie znamy; ale już go zrozumiał w części a zresztą przeczuł: zaczem rozwiódł się bardzo boleśnie, nie tyle nad nim, ile nad krajem, jeżeli w nim czołga się więcej takich jednostek...

Wszakże wymowne i bardzo trafne jego uwagi nie wielkie sprawiły wrażenie na xiężach: z dwóch mianowicie powodów. Więc najpierwej dlatego, iż zrozumienie niebezpieczeństwa, jakie krajowi grozi z powodu tej materyalnej zarazy, nie było jeszcze dla ich powierżchownych umysłów na czasie; a powtóre dlatego, iż im obudwom w tej chwili nie chodziło ani o losy Krzesława, ani o widoki kraju na przyszłość, tylko o los Dobiesława i przywiązany do niego w ich sercu los zaprzedanych Niemcom Grodowisk. Zaczem obadwa przypuścili teraz szturm nowy do niego, mówiąc z uciechą:

— Cóżkolwiekbądź, zawsze trza Pana Boga pochwalić za to, co się stało, bo przecież już teraz nie brakuje ci środków do wykupienia twojej fortuny a razem i nas z tej nieznośnej niewoli.

— A jakto? — zapytał Dobiesław, — czyż rozumiecie, że ja odebrałem od Krzesława wszystko, co mi się należało? Ledwie połowę... Wszystkiego razem trzydzieście i dwa tysiące.

— A indemnizacya? — zapytał X. Grzegorz ciekawie.

— Jeżeli ją kiedyś wypłacą, to połowa jej do mnie będzie należeć.

— A to odnieśliśmy triumf zupełny! — zawołał Wikary z radością, — Grodowiska są twoje.

— Ja tego nie widzę, — rzekł z rozwagą Dobiesław, — proszę policzyć. Ileżby trzeba dać za Grodowiska?

— Kupisz je za sto tysięcy ze wszystkiemi inwentarzami i porządkami — a może nawet i taniej...

— No, więc gdzież ja mam środki po temu? Na Grodowiskach jest dwadzieścia tysięcy długów instytutowych, które mogą pozostać przy gruncie, trzeba-by więc mieć jeszcze ośmdziesiąt tysięcy: a ja mam na to trzydzieście, z indemnizacyą niechaj będzie pięćdziesiąt. Gdzież jeszcze trzydzieście? a gdzież fundusze no prowadzenie gospodarstwa tak obszernego?

— Ale to wszystko jest bagatela! — mówili xięża, — połowę długu mieć na majątku to u nas rzecz prawie zwyczajna. Zajrzyj do xiąg hipotecznych a przekonasz się, ilu jest takich, którzy ich mają mniej? A iluż takich, którzy ich mają daleko więcej: a przecież żyją i nikt ich nie wyrzuca z majątków, i nie wyrzuci, bo każdy wie, że w latach złych mogą zawsze opłacić prowizyę, a kilka lat dobrych wszystkie ich długi popłacą.

— Mój xięże Grzegorzu, — rzekł na to Dobiesław, — wy dziwne macie, tak o posiadaniu ziemi, jak o gospodarstwie, wyobrażenie. Zapewne że dzisiaj w całej już Europie zachodniej, jak nie masz Państwa, tak nie masz i posiadłości bez długów; lecz trzeba wiedzieć, że długami takiemi, które się dadzą z posiadłością ziemską pogodzić, są tylko długi instytutowe, to jest, długi takie, gdzie się kapitał procentami umarza. Prócz długów takich dopuszczalnym jest dla rolnika tylko dług jakiś bieżący, chwilowy, zaciągnięty w banku rolniczym na rachunek dochodów i płatny w terminie krótkim. Wszelkie zaś długi inne, procentowe, wypowiedzialne, nie dadzą się w żaden sposób z posiadaniem ziemi pogodzić. Zapewne, że kto takie długi już odziedziczył, ten musi je cierpieć; chociaż i ten także daleko lepiej-by zrobił, gdyby się obliczył zawczasu i odciął część swojej posiadłości dobrowolnie, niżeli-by ją miał kiedyś w całości utracić. Ale długi takie zaciągać i za ich pomocą większe kupować dobra, niżeli się ma środków własnych, jest to po prostu i świat oszukiwać i siebie; czyli mówiąc wyraźniej: udawać właściciela kawałka ziemi, na którym się jest właściwie tylko ekonomem kapitalistów. Jeszczeż gdyby tylko o to chodziło, to w pewnych wypadkach można-by się i na to zdecydować; alež tu na tem nie dosyć: bo pytam się was, jakiż może być koniec takiej roboty? Przecież dług taki wiecznie na dobrach ciężyć nie może, bo ma swój termin wypłaty: a czyż jest podobieństwo spłacić go dzisiaj z dochodów rolnych? Dobre lata, zapobiegliwość, praca, oszczędność i t. d. wszystko to są w tem razie tylko puste frazesy — i przepraszam was, że to powiem otwarcie, — frazesy takie, na których jeszcze tylko w Polsce budują się tak wielkie widoki, gdzie w ogóle wszystkie przedsiębiorstwa podobne bywają daleko częściej skutkiem zachcenia albo kapryśnej chciwości, niżeli roztropnego wyrachowania. Ale ja, który całą młodość strawiłem w podobnych pracach, mogę was o tem zapewnić, że z taką rachubą zamiast kapitałów, nigdy się w zawód rolniczy puszczać nie można. Bo pracowitość, zapobiegliwość, oszczędność, jest zawsze koniecznym warunkiem rolnictwa, i jest już bardzo dobrze, jeżeli za pomocą tych środków rola oddaje odpowiedni swojej wartości procent. Zaś dobre lata cóż nam przynoszą? — oto podwyższają nasz procent z pięciu na sześć, może na siedm, a a gdyby nawet na ośm, to zawsze jeszcze nie o tyle, ażeby nim można kapitalne długi popłacić. Takiemi przypadkowemi zwyżkami nawet nic płacić nie można, bo jakież z natury rzeczy jest ich przeznaczenie? Zdarzają się lata dobre, zdarzają się i złe: cóż stąd wynika? Oto oczywiście wynika to, że zwyżki z lat dobrych powinne być schowane na pokrycie niedoborów w latach złych. Przebaczcie mi powtórzenie tych abecadłowych wiadomości ekonomicznych, ale musiałem wam je powtórzyć, boście o nich zapomnieli. Cała ta tedy sprawa tak się ma. Mając pięćdziesiąt tysięcy a do nich odpowiedni fundusz obrotowy, o który zresztą w tym razie mniejsza, ja kupię majątek za sto tysięcy, ale tylko natenczas, jeżeli niedostające mi pięćdziesiąt tysięcy pozostaną przy gruncie w formie długu umarzalnego. Inaczej o takiem kupnie ani można pomyśleć: bo było-by to po prostu szaleństwo —

i szaleństwo pod względem ekonomicznym wcale nie małe, bo skutkiem jego nietylko odchodzi się zazwyczaj z kwitkiem, zmarnowawszy czas, pracę i nic nie zrobiwszy, lecz jeszcze bardzo często traci się i swoje własne fundusze, jak to się nawet bardzo jenialnym i sławnym agronomom zdarzało.

— Zmiłuj się, mój Dobiesławie! — rzekł na to X. Grzegorz, niezmiernie tem sfrasowany, — mówisz bardzo jasno, zrozumiale, do przekonania; ale przecież pozwól sobie powiedzieć, że praktyka nas naucza całkiem inaczej. Czy wiesz, ile miał Krzesław, kupując Starodzięki? Miał ledwie część trzecią ich wartości: a przecież się przy nich utrzymał, i musi już stać wcale nie źle, kiedy tobie tak znaczną summę na zawołanie wypłacił. A iluż-to innych porobiło majątki tak samo? Poporywali się z lada czem, pokupowali wioski, wsie, dobra, i utrzymali się przy nich. Patrz wreszcie na dzierżawców: iluż-to z nich, nie mając niegdyś nic, posiadają dziś dobra? a na czem się dorobili? przecież na gospodarstwie. Dlaczegoż tylko ty jeden, mając daleko więcej gospodarczych umiejętności i więcej funduszów niż wielu innych, nie miał-byś się utrzymać przy fortunie, którą w większej połowie masz czem zapłacić? —

— Hm! — rzekł na to Dobiesław, — muszę wam znowu powtarzać rzeczy takie, o których wyście powinni lepiej wiedzieć odemnie. Ale wiem i ja o nich, więc powiem. Powiadacie, że Krzesław zrobił w tak krótkim czasie majątek. To prawda. Ale czy zrobił go na gospodarstwie? Mnie się zdaje, że nie. Kupowanie wiosek na licytacyach, podejmowanie liwerunków, przedsiębiorstwa jarmarczne i tym podobne szacherki, to przecież nie gospodarstwo, to spekulacya. Ja się takiemi spekulacyami trudnić nie będę, bo to nie moja rzecz, choćby tylko dlatego, iż wszelkie przedsiębiorstwa podobne, jak to powszechnie wiadomo, tylko natenczas znaczne przynoszą korzyści, jeżeli się im dopomaga, szachrajstwem. Krzesław, być może, że także coś zrobił na gospodarstwie: lecz w jaki sposób? Uszczuplając ludziom zasługi, robotnikom zarobku a bydłu żywności, wysysając role bez względu na jutro, szachrując gorzelniczką, browarkiem, propinacyami, a wreszcie pożyczając chłopom pieniądze na lichwę, można coś zrobić i na gospodarstwie: ale ja w taki sposób gospodarować nie będę. Gospodarstwo rolne jest wedle mego widzenia rzeczy wszędzie zawodem poważnym, szanownym i zacnym — a jeszcze stokroć poważniejszym jest ono u nas, gdzie jest zarazem obywatelskim urzędem w kraju i społeczeństwie. Tak uważane gospodarstwo ma swój moralny katechizm, od którego ani na krok odstąpić nie wolno. Każdego rodzaju krzywda, wyrządzona czy-to ziemi, czy bydłu, czy ludziom, jest brudną plamą we Francyi, w Anglii, Włoszech i Niemczech, gdzie zawód rolniczy jest, że tak powiem, ograniczony na siebie; u nas, gdzie rolnik naszego rzędu jest prawie najgłówniejszą cząstką narodu, jest opiekunem nietylko materyalnej ale i moralnej własności narodu, gdzie wreszcie jest otoczony tysiącami wiejskiego ludu i powinien być dla niego wzorem we wszystkiem, u nas plama taka nie jest plamą, ale jest występkiem, jest zbrodnią, i to nie zbrodnią prywatną, ale publiczną. Gospodarować dziś po tatarsku, to jest bez względu na to, co się po nas zostanie pokoleniom następnym, — wyciągać zyski nieprawe z wiejskiego ludu, — zajmować się wyłącznie tylko swem materyalnem istnieniem a usunąć się od tego wszystkiego, na czem moralne istnienie całego narodu polega: cóż to jest innemi słowami? — Oto wyniszczać do reszty tę ziemię, która jest dzisiaj, i kto wie jak jeszcze długo będzie jedyną, niezaprzeczoną naszą własnością, — wyniszczać lud, który chowa w sobie najzdrowsze ziarna potężnej narodowej przyszłości, — zabijać obojętnością ducha narodowego, który jeszcze jakokolwiek istnieje w warstwach zamożniejszych rolników. Zapewne, że tak się robi majątki. Ale majątki te, mój xięże Grzegorzu! to są brzydkie pieniądze, — czasem daleko brzydsze, niżeli te, które brano od Moskwy przy Polski sprzedaży — a środki te, któremi się do nich przychodzi, tak samo plugawe, jak tamte; plugawsze jeszcze, bo zimne, wyrachowane, używane z rozmysłem, co dzień, co godzina, przez długie lata, czasem przez całe życie! — Kiedy indziej pomówimy o tem obszerniej; na teraz dosyć i tego, bo widzisz Jegomość sam, jakim być trzeba człowiekiem, aby się dzisiaj z małemi środkami rzucać na zakupno dóbr wielkich — i jakich potrzeba używać środków, aby te dobra potem rzeczywiście zakupić.— Gospodarując sumiennie, postępując z ludźmi uczciwie, nie bawiąc się szachrajstwami i lichwą, a przytem nie zapominając o swoich obowiązkach obywatelskich, wierz mi, mój xięże Grzegorzu, że na gospodarstwie żadnych osobliwszych rzeczy dokazać nie można. Przy odpowiedniej umiejętności, przy wielkiej pracy, oszczędności, pilności, jeżeli nam rola w naszych teraźniejszych stosunkach przyniesie pięć do siedmiu procentu, to już bardzo wiele: a przy takich widokach, ani do zakupna dóbr bez odpowiednich funduszów, ani do spłaty wielkich długów z funduszami małemi, porywać się niepodobna. Jeżeli tedy tem mnie chcecie do zakupna Grodowisk zniewolić, że to jest korzystny interes, to darujcie mi, że się zniewolić nie dam, bo jest to interes najniekorzystniejszy pod słońcem i jako interes — dla mnie — wprost nieprzystępnym. — Być może, że ja się mylę, że stosunki tutejszo-krajowe są inne, że rola w Galicyi może przynosić summy bajońskie, że ci ludzie, którzy tak nagle porobili majątki, porobili je z gospodarstwa i w sposób najsumienniejszy.... Jeżeli tak jest, raczcie moje widzenie rzeczy sprostować, chętnie dam wam się nauczyć.

To rzekłszy, wyczekiwał Dobiesław odpowiedzi od xięży.

Ale obadwa xięża milczeli.

I milczenie to trwało chwilę przydłuższą.

Dopiero po chwili i po kilku ciężkich westchnieniach zabrał głos wikary i rzekł:

— Ha! trudno co przeciw temu powiedzieć. Patrzaliśmy na to zbliska, ale niewłaściwemi oczyma. Dużo się porobiło w ostatnich latach majątków, ale bodaj czy dziesiąty pomiędzy niemi jest całkiem wolen od krzywdy uboższych sąsiadów i ubogiego wiejskiego ludu. Przynajmniej to pewna, iż porobili je prawie bez wyjątku ludzie, którzy sobie co do sprawy publicznej powiedzieli z góry, że już wszystko przepadło, usunęli się całkiem od obowiązków obywatelskich i oddali się tylko robieniu pieniędzy.... Prawda — i wielka prawda. Ale mój Dobiesławie! czy ta prawda powinna być do naszego położenia zastósowaną tak ściśle, że nic już nie można powiedzieć? Czy chodzi tu o to, ażebyś ty, zakupując Grodowiska, zrobił koniecznie korzystny interes; czy tylko o to, ażebyś się przy nich choć jakkolwiek, choć-by i z trudem, choćby i z poświęceniem, utrzymał? Czy wykupienie twojej rodzinnej ziemi, czy wyjarzmienie tylu tysięcy dusz szczeropolskich z cudzoziemskiej niewoli, czy wreszcie danie tak pieknego przykładu psowającej się braci, nie warte jest twoich poświęceń a choćby nawet i strat majątkowych? —

— A! to co innego! — zawołał na to radośnie Dobiesław, — tak do mnie gadajcie! Tak wam trza było do mnie przemawiać od razu! Nie do rolnika z zawodu, który waży rozumem, ile ziarn która ziemia przyniesie, — nie do kapitalisty, który pragnie jaknajlepiej umieścić swe kapitały, — nie do realisty, który w każdej sprawie szuka tylko realnych korzyści, — trzeba wam było w tej sprawie zapukać: ale do człowieka, do Polaka, do obywatela — a wtedy-byście byli wszystko od razu zyskali. Ale wy, żyjąc w tych czasach fatalnych, już-eście się sami nie wiedząc o tem tak zmaterializowali, że-ście mnie nawet do tak idealnej sprawy, jaką w tym razie jest wykupienie rodzinnego majątku, nie umieli zniewalać czem innem, tylko materyalną korzyścia.... Dobiesław chciał mówić dalej; ale tymczasem wikary rzucił mu się na szyję, wołając prawie ze łzami:

— Przepraszam cię, przepraszam z całego serca; ale taki dziś świat, tacy ludzie.... Więc nie opuścisz nas? weźmiesz się do tej sprawy? wykupisz nas z tej niewoli?

— Oczywiście, że was nie opuszczę, — rzekł na to wesoło Dobiesław, — i podzielę z wami te losy nasze, choć-by były najgorsze. Tylko nie wymagajcie odemnie więcej nad możność i nad to, co każe zrobić roztropność. Czasy rozpaczliwych uczynków już przeminęły i nie powinny powrócić. Niecierpliwością, nadmiarem fantazyi, zbytkiem wiary w szczęście minionych wieków, jużeśmy zanadto wiele stracili, aby nam wolno było jeszcze na nowe narażać się straty. I cóż mamy do utracenia? — oto tych kilka kawałków ziemi, tych kilka groszy — ostatnich? To jeszcze straciwszy — już tylko w grób nam się położyć i wznieść nad sobą krzyż zapomnienia.... Miejcie tedy cierpliwość i przedewszystkiem dajcie mi czas do dokładnego zbadania istoty rzeczy. Co zrobię? Czy Grodowiska wykupię? czy wezmę w zastaw, w administracyę albo dzierżawę? sam jeszcze nie wiem: ale możecie być przekonani, że zrobię wszystko, co będzie przy moich środkach i siłach możebnem.

— Będziemy cierpliwi i wyrozumiali, — zawołali obadwa xięża, — ale zmiłuj się, nasz kochany, nie trać już czasu ani momentu. To nie jest pora do wyczekiwań. Niemcy są w położeniu krytycznem, drzą z trwogi, upadają prawie w rozpaczy. Z takiej chwili trzeba korzystać — i trzeba korzystać raźnie, bo za lada momencik może im przyjść jakiś ratunek: a wtedy może trza będzie dać sto za pięćdziesiąt a może i nic zrobić nie będzie można. Tak samo jak my czuje i cała gromada — i patrz! oto już przybiegła do ciebie....

To mówiąc wikary wskazał na okno. Dobiesław spojrzał — i w samej rzeczy obaczył cały dziedziniec plebanii zalany wiejskim ludem Grodowiskiego państwa. Dobiesław jeszcze w czasach swojego pacholęctwa starał się zasługiwać na miłość i poszanowanie u ludu i był od niego rzeczywiście kochany. Pamiętano mu tę miłość do dziś dnia. Toż dziś, kiedy się dowiedziano o jego przybyciu, przybieżono ku niemu. Mężowie i parobczaki, starcy, niewiasty i dzieci, wszystko to się zbiegło chmurami, ażeby swego ukochanego panicza powitać.

Dobiesław wyszedł ku nim na ganek. Rozgłośnym szmerem powitała go cała gromada: jedni krzyczeli, drudzy ściskali go za kolana, trzeci płakali. Dobiesław wszedł między nich, jednych poznawał, o drugich się pytał a każdemu umiał powiedzieć coś takiego, że chłopi mówili: — Choć-byśmy pana nie poznali po twarzy, to-byśmy poznali po głosie, bo takim głosem jeno wy potraficie przemówić. — Nareszcie zgromadziła się koło niego starszyzna i zaczęła radzić o sprawie powszechnej.

— Cóż tam, panie nasz drogi? — pytali poważni gazdowie, — jakieście-ta wyszli przy dziale?

— Źle, moi drodzy, — mówił Dobiesław, — mój brat powikłał się w interasa i niewiele mi mógł udzielić.

— Tak'eśmy to sobie myśleli! — rzekli chłopi, kiwając smutno głowami. — Z tym waszym bratem niełatwa sprawa. Już tu i żydzi się skarzyli na niego... No, ale przecieście tyle zdobyli, że ojcowiznę wykupicie od Niemców?

— Trudno to będzie, — rzekł im Dobiesław, — mam tak mało pieniędzy, że nie ma się z czem porywać.

Niezmiernie się zfrasowała starszyzna tą wiadomością, ale go otoczyła jeszcze tem cieśniej. I zaczęli go badać: ile ma? ile jeszcze mieć może? ile żądają Prusacy za Grodowiska? i t. d. A wyrozumiawszy wszystko, nabrali dobrej otuchy i tak mówili:

— Ej! jakoś to będzie! Prusacy giną, dadzą się pociągnąć. Kupisz Jegomość to państwo za bezcen. A byle tylko kupić, to już się ta jakoś zapłaci. Coś dasz Jegomość gotówką, coś przejmiesz w długach a wierzyciele wam poczekają, a kiedy-by trzeba, to i u nas coś się ta znajdzie, więc pożyczymy Jegomości choć-by

i bez procentu. A już o resztę się Jegomość nie frasuj, choćbyś się został i bez grosza. Będziemy wam robić jak sobie samym a o zapłatę nikt się nie upomni...

Dobiesław był zdumiony tą gotowością ich do takich ofiar, zdumiony do tego stopnia, że nie mógł im od razu uwierzyć, i rzekł:

— Dziękuję wam z całego serca za tę ofiarę; ale zmiłujcie się, cóż też wam na tem zależy, żebym koniecznie ja Grodowiska zakupił a nie kto inny? Czy ten pan siedzi we dworze, czy drugi, przecie wam to na jedno. Jesteście wolni, nie macie żadnych względem dworu obowiązków ani dwór względem was, cóż was ten pan może obchodzić?

Nie umieli mu się chłopi z tego usprawiedliwić dokładnie, tylko mówili po prostu:

— Ale gdzietam nam panie na jedno! Jeszcze wy tego nie wiecie. Nie jedno to człowiekowi, czy swój mu sąsiadem, czy mu taka obczyzna wonieje pod nosem. Oj! nie jedno to, panie! nie jedno! Już nam te zawłoki kością w gardle stanęli! Jużbyśmy może i do pańszczyzny wrócili, gdyby tylko ich licho zabrało nam z karku....

Tak mówiła gromada.

A Dobiesław miał najlepszą sposobność przekonać się, w której-to warstwie jest najgłębsza ku obczyźnie odraza, jeżeli nie w tej, która się nie rządzi wyszlifowanym rozumem, tylko sercem i tradycyami. I tu mu się jeszcze tem jaśniej przedstawiły obowiązki tych, którzy z położenia swego są powołani, i wprowadzać oświatę pomiędzy lud wiejski, i stać na straży jego zbawiennych dla przyszłości narodu tradycyi...

Takie usposobienie wiejskiego ludu, przechowujące się pomimo tak ważnych zmian społecznych w jego umyśle i sercu do dziś dnia, ujęło tem bardziej Dobiesława dla niego. Uwierzył w ich obietnice jak w starodawne słowo szlacheckie. I długo jeszcze potem z nimi rozmawiał. A kiedy wszedł do plebanii na powrót, to powitał xięży rozpromienioną twarzą i rzekł do nich wesoło:

— Z takim ludem żyć i umierać! Z takim ludem można też coś przedsięwziąć...

Był-by mówił dalej; ale tymczasem dostrzegł, że kanonik miał nowych gości. Wszyscy trzej Prusacy siedzieli na kanapie, rozmawiając z gospodarzem domu. Obaczywszy Dobiesława, powstali z miejsc i witali go więcej może z ciekawością, niżeli z uszanowaniem. Niebawem zastawiono herbatę, a razem z nią wino kipiące, ulubiony napój Prusaków. Przy herbacie i winie rzucili xięża projekt zakupienia Grodowisk przez Dobiesława. Nie byli od sprzedaży Prusacy i nie był od kupna Dobiesław. A lubo to był dopiero projekt, na co się obiedwie strony zgodziły, niecierpliwi w swojej radości xięża kazali wnosić wazę za wazą — a nim wybiła godzina dziesiąta, pito już zdrowie nowego dziedzica Grodowisk.

(*D. c. n.*)

LUTNIA IZRAELA
pod murami Jerycha.

Zniósł Anioł dźwięków lutnię z hebanu,
Wziął ją z Wielkiego Boga ramienia:
Niech lud mój na niej wygrywa pienia,
Niech tęskni na niej do Kanaanu.
Było pięć strun:
A jedna była z szczerego złota,
A druga była z srebra szczerego,
Trzecia z miękkiego była jedwabiu —
A czwarta dźwięki miedziane miota,
A piąta - piąta zbawi od złego,
Gdy naród w chwiejnym życia korabiu
Stanie śród łon.

Grał lud na złotej:
Wywodził pienia męztwa i cnoty,
W niebie poczęte peany święte,
I silny stał;
I jeszcze męzki
W bojach zwycięzki
Hymny bojowe na srebrnej grał.

Potem — spodleni, wszeteczni duchem
Zasnęli gnuśnie w korabiu kruchym,
A który we śnie oczy otworzył,
Palce na miękką strunę położył —
I z jedwabnej prześli,
Słaby, snem zmożony
Wydobywał tony
Podłe, i niegodne narodowej gęśli.
Padli. —
Wróg miecz wbił w piersi i włożył pęta;
A lud, gdy ujrzał że krew zeń ciecze,
Chciał dźwiękiem lutni zażegnać miecze,
Chwycił — lecz lutnia była zaklęta. —

Wtedy wstał Bóg:
Wybrał w narodzie jednego męża
I rzekł: Niech lutnia wrogi zwycięża,
Dzierz w imię moje niebieską broń, —
A mąż radośny, w duchu natchniony
Taki przesilny wydobył jęk —
Że zadrżał wróg;
A ci co spali,
Ze snu powstali
I owych jęków korni słuchali.

Wróciło życie.
Skrycie gorące myśli wstawały,
I duch się podniósł rozpromieniały,
I serca biły - a biły skrycie. —
A gdy legł w grobie mistrz struny miedzianej,
Serce narodu przejął ból bratni:
Chwycił za lutnię boleścią nękany
I zdarł zasłonę z struny ostatniej —

Była stalowa.

Brzękli — a struna dźwiękła we słowa:
— Na stali grajcie, silny mój dźwięk
Pierś wam nastali na święty bój —
Będzie wam obcy wszelaki lęk,
Wszelaki znój —
A kiedy przyjdzie do walki czas,
Niechaj mię płatnerz otuli w żar
I skowa miecz. —

G. M.

Myśl ogólna fizyologii powszechnej przez Józefa Supińskiego.

We Lwowie u Kajetana Jabłońskiego 1860.

Budować nowe społeczeństwa, burzyć istniejące lub je przetwarzać według modły albo zasady wyrozumowanej w ciasnem jednego człowieka pojęciu, choćby on był najgienialniejszym, okazało się rzeczą równie płonną w nauce, jak zgubną w życiu. Wszystkie tak zwane teorye społeczeństw, idealne urządzenia państw, pozostały w najlepszym razie pomnikami piśmiennictwa, ale nie stały się prawidłem dla społeczeństw; stały się niektóre przedmiotem pośmiewiska, inne uwieńczyły swoich twórców cierniową koroną. Wszystkie zaś w rzeczywistość wprowadzone zasady i teorye społeczne i modły gwałtem naciskane, albo niemowlęcym jeszcze albo już niedołężniałym społeczeństwom, rozbiły się i rozbijają o nieubłaganą konieczność, z jaką ród ludzki i narody kroczą na drogach swego rozwoju pod przewodnictwem woli Opatrzności, wyższej nad ludzkie pomysły i zachcenia.

Od Platona rzeczypospolitej zacząwszy aż do sławnej Utopii, Falansterów i Ikaryi, pozostały wszystkie te idealne społeczeństw obrazy w mglistych dziedzinach spekulacyi i filozofującej fantazyi. A jednak Platona rzeczpospolita jest dla tych nawet, którzy o niej wyobrażenia nie mają, owym zasłonionym obrazem w Saidzie za którego zasłoną przeczuwają coś pięknego i wielkiego, między uczonymi zaś i myślącymi ludźmi w ogóle zjednywała przez wieki cześć geniuszowi Platona. Podobnież Utopia stała się tylko dla tego tak utartym wyrazem szyderstwa w ustach nieprzyjaciół wszelkiego postępu, (niewiedzących często nawet, iż to jest tytuł znakomitego dzieła) bo przedstawia raczej ironicznie Społeczeństwu ludzkiemu doskonałość, jakiej ono niedosiągło i dosiągnąć nie może, niżby miało roztrącać tych, którzy czy to z grobowych szczątków przeszłości zbudowawszy sobie krzesła kurulskie, czy przez krzykactwo stawszy się samozwańczymi trybunami ludów, roszczą sobie prawo do steru w społeczeństwie. Nic wygodniejszego jak szydzić z broni niestrasznej. Nareszcie owe późniejsze utwory umiejętnej fantazyi są to dzieci ducha bolejącego nad chorobami społeczeństwa, ale na wszelki wypadek utwory, którym umysły stojące na wyżynach nauki nie odmówiły nigdy należnego im uznania (jak A. Cieszkowski teoryi Fourriera). Tylko niewiadomość szydzić z nich może. Wspominamy tu o tem dla tego, bo ktoś niewłaściwym w krytyce przyzwoitej tonem zakrawającym na szyderstwo, przyrównał dzieło p. Supińskiego do Utopii, Falansterów, Ikaryi, w czem się niezmiernie pomylił: lecz gdyby nawet miał słuszność, nie wyrządziłby tem na stanowisku nauki żadnej krzywdy Supińskiemu, a więc chybiłby celu. — Supińskiego książka nie należy bynajmniej do kategoryi dzieł idealnie kształtujących społeczeństwo ludzkie: nie jest przeto skazaną na zostawanie w mglistych wyżynach ideologii. Obrał on sobie nową drogę w kierunku, ku któremu w nowszych czasach zwróciły się nauki stanu przyszedłszy do przeświadczenia, że wszelkie ludzkie teorye równie jak praktyki ludzką wolą społeczeństwu narzucone, rozbijają się o nieubłagany prąd dziejów.

Wspomnieliśmy o losach jakim uległy teorye. Spojrzyjmy na praktyki. Oto nasz wiek przedstawia jak żywotne siły społeczeństw przemagają nad sztucznie sobie narzucanemi formami. Jak w tamtych wiekach ani inkwizycyi ani gilotyny krwawe rządy nie zdołały wcisnąć społeczeństwa w przygotowane dlań kształty dwóch sobie wręcz przeciwnych teroryzmów: tak w naszym wieku ani gromy wielkich wojen w imie „honoru“ przedsiębranych, ani pasożytne rozgałęzienia urzędniczych ustrojów z godłem „prawa i porządku“ na czele, nie zdołały przemódz przyrodzonego tętna życia w narodach. Runęły teroryzmy dawniej, runęło niedawno samodzierzstwo honoru, a dziś pasożytne budowy świętoszkowego przymierza zarysowały się i pękają, bo je zwolna rozsadza niczem nieskrępowana organiczna siła narodów. Wszystko to były i są prawidła narzucone narodom wolą ludzką w dobrej lub złej wierze, i są one jak owe konieczne często dla uzdrowienia ciała lub duszy krwi upusty, chłosty, umartwienia, nękania lub inne bole duchowe i cielesne, które jednakże przeto że służą ku uzdrowieniu, nie są bynajmniej zdrowiem samem. Owszem, jak uzdrowiony duch lub ciało odpycha od siebie narzędzia udręczeń, rozrywa krępujące go więzy chirurga i z obrzydzeniem patrzy na leki które w niemocy za konieczne uznawał, tak uzdrowiony i wzmocniony duch społeczeństw uniesie prądem dziejowego postępu na spiętrzonych wałach czerepy zdruzgotanych systematów które go krępują.

Piśmiennictwo miało na przeciwnym tamtemu idealnemu i fantastycznemu krańcu, także dzielnych i pomnikowych przedstawicieli praktyki społecznej. Aby tylko węgielnych dotknąć postaci wymieniamy tu Arystotelesa i Macchiavellego, równie wielbionych jak potępianych obudwu, z których pierwszy dawno pyłem szkolnym przypadły przestał być mistrzem mocarzów, drugi zaś wywleczony jak upior przez twórców świętoszkowego przymierza i powołany przez restauratorów do rady, wywiódł ich w pole, i z szyderczym uśmiechem patrzy od lat przeszło czterdziestu na stopniowe rozsypywanie się zbudowanego podług jego planów gmachu społecznego. Z szyderczym uśmiechem niezawodnie, bo zapomnieli restauratorowie że również dobre rady jakie podał monarchom w „książęciu“ złożył w rozprawach o dekadach Liwiuszowych dla rzeczypospolitych, — na wszystkie trucizny podał antidota, na wszystkie czary znalazł talizmany; bo

w arsenale rozumowań ludzkich znajduje równą zbroję obrońca złego i dobrego, tylko przed boskim sądem nie ostoi się nic prócz dobrego.

Widząc tedy ludzie nauki i głębocy myśliciele znikomość ludzkich teoryi i praktyk dla społeczeństw, poczęli od niedawna badać w tem co istnieje prawideł istnienia, z księgi życia zapragnęli wyczytać prawa boskie które Bóg sam w niej zapisał. I poszli drogą trojaką, a chociaż się błąkają i błądzą, to przynajmniej wyzuli się już w dziedzinie nauki z tej pychy że do ich rozumów winien się świat stosować. Jedni zatopili się w głębinach własnego myślenia, a badając tajniki z których się myśl wywija, sposoby i drogi któremi się rozwija i prawidła wedle których przenika całe istnienie, upatrzyli we wielkim kodexie myślenia, prawo istnienia dla całego świata, podstawy uspołecznienia, pierwsze założenie i ostatnie rozwiązanie wszelkich zadań człowieczeństwa. Aliści śledząc praw życia odbiegli od życia samego, i chociaż w ich badaniach wiele się prawdy zamyka, okazało się przecież że zbyt ciasne rozmiary przykładali do największych rzeczy, bo mierzyli boskie dzieła wedle pojęć ludzkich. Ztąd też poszło że im zarzucono, choć niezupełnie słusznie, ubóstwienie człowieczeństwa i postawienie ludzkiej myśli na miejscu bóstwa. Niezawodnie jest ludzka myśl odbiciem boskiej myśli, ale trzeba być ni mniej ni więcej tylko Bogiem aby każda myśl była czynem, aby każdy czyn tchnął wiecznem życiem. U człowieka myśl i czyn są to dwie oddzielne potęgi. Toż wzory uspołecznienia odkryte przez tych głębokich myślicieli rażą (by mówić z Hamletem) chorowitą bladością myśli. Gdy przyszło do praktycznego rozwoju, uwiązł jeden (bo znowu przytaczamy z pośród wielu tylko dwie węgielne postacie) w sieciach pruskiego konstytucionalizmu, (Hegel) i drugi uczuwszy niedołężność myślenia ludzkiego uciekł się w ramiona objawienia, (Szelling) i tu znalazł duch jego ostateczne ukojenie.

Inni poszli drogą czynu bijącego w oczy, uderzającego zmysłową prawdą, szukali w dziejach ukrytych sprężyn i prawideł któremi kieruje Opatrzność, i z których ona sama buduje społeczność ludzką. Ogrom materyału, rozliczność wpływów i krzyżujących się dążeń jest tak wielka, że rozpatrzeniu się w tej olbrzymiej tkaninie dziejów nie podołał dotąd pojedyńczy człowiek. Tylko pojedyńczych narodów, pojedyńczych gałęzi społecznego życia rozwój dziejowy udało się dotąd rozważyć, ale prawideł organizacyi społecznej dla całego człowieczeństwa, które zda się jeszcze zawsze zostawać tylko na bardzo nizkim stopniu rozwoju, tego jeszcze nikt nie dopatrzył. Przyświeca wprawdzie i na drodze dziejowego badania prawideł społecznych jedna jasna gwiazda światłem niezmiennem od wieków, prawda chrześcijańska, p r a w o m i ł o ś c i, ale cały ród ludzki ma się do tej gwiazdy, jak żeglarz na wątłej łodzi wśród zburzonego morza, do gwiazdy biegunowej. Oko żeglarzy zwrócone tęskno ku niej szuka prawdziwej drogi, ale własna nieudolność nie dozwala oprzeć się tysiącu przeszkód i tysiącu ponętnych złudzeń, nie dozwala zwyciężyć wzburzonych bałwanów namiętności, zbaczają oni co chwila z drogi, a między samą załogą statku jakież panują rozterki, jakież rozdwojenia, jaka zażarta walka pychy wzajemnej, zapamiętałego zaufania w sobie samych a niewiary w Tego co im oddał ster w ręce, by własną zasługą dobili do lądu błogosławionego, który im gwiazda wskazuje. Pod postacią tego lądu błogosławionego przedstawia się wzór uspołecznienia, w jakiem przeznaczono żyć rodowi ludzkiemu, ale kędy droga do niego, o to dotąd nadaremnie pytali badacze, bo nawet same wielkie hasło tej wielkiej żeglugi dziejowej, hasło m i ł o ś c i, bywa w każdej chwili tysiąckrotnie nadużywane, i w jego imieniu dokonywają się niezliczone czyny i dzieła prócz jednego: czynu prawdziwej miłości.

Niecierpliwy w zbadaniu prawideł uspołecznienia duch ludzki, nie doszedłszy do celu na tych dwóch drogach, rzucił się na trzecią. Widzi on, że nie sama potęga myśli człowieczej włada społecznem życiem, widzi, że sama wola ludzka jest zarzewiem zamieszania i nieładu w dziedzinie czynów, widzi nareszcie, że ród ludzki i ziemia, którą zamieszkuje tak nieskończenie drobną są całostką w ogromie stworzenia, iż niepodobna, aby wolną była, a raczej wyzutą z praw rządzących całem stworzeniem. Słuszność jego widzenia stwierdza się za każdym krokiem. Spólność cielesna człowieka z całą przyrodą jest tak jawną, zależność od niej, powstawanie z niej i powracanie do niej, tak szczegółowo już wyjaśnione, że dziś dopiero jest nam w zupełności zrozumiałe słowo Mojżeszowe: „z mułu ziemi stworzył Bóg człowieka“. A więc i do badania społecznego ustroju otworzyła się nowa droga. „Bóg tchnął swego ducha w oblicze człowieka“ jest drugie Mojżeszowe prawidło stworzenia człowieka. Bóg tchnął ducha swego w człowieka, tego samego ducha, którym porusza światów ogromy i utrzymuje stworzenie w niepojętej a jednak widomej dla nas harmonii. A więc prawidła, któremi się rządzi wszech światów społeczność, muszą być prawidłami uspołecznienia ludzkiego. Badajmyż te prawidła i szukajmy ich w ustroju rodu ludzkiego.

Na tę drogę wszedł p. Supiński.

Wybaczy nam czytelnik, żeśmy go zabawili przydłuższem rozglądaniem się po drogach, któremi podąża duch ludzki do zbadania społecznego ustroju — bo chodziło o stanowisko, jakie zajął p. Supiński w tej dziedzinie nauki. A że je zajął, już to jest zaletą.

Autor „Myśli itd.“ pojął, że jesteśmy atomem wśród Uniwersum. Nie zniżył on przez to godności człowieczeństwa ale ją podniósł. Zajął on stanowisko szczytne i wielkie, i dla tego wybaczy nam autor szanowny, gdy mu powiemy że temu zadaniu nie mógł żadną miarą podołać, bo nie jest rzeczą jednego myśliciela: ułożyć „K o s m o s“ świata duchowego, jak było dziełem jednego Humboldta zbudować „K o s m o s“ fizyczny. I Humboldt nie podołał w zupełności swemu zadaniu, a zadanie to łatwiejsze niż „K o s m o s“ duchowy. Zadanie to jest tak wielkie, że podać myśl do rozwiązania go, już jest dziełem: to też słusznie nazwał Supiński książkę swoją: „Myślą ogólną fizyologii powszechnej“. Nie powiemy p. Supińskiemu „że nie rozumiał co jest fizyologia,“ bo fizyologia w zwykłem rozumieniu jako nauka prawideł życia organicznego w roślinach, zwierzętach i człowieku jest cząstką tej nauki, z której p. Supiński powziął „Myśl“ swoją. Wszak całe stworzenie jest jednym wielkim organizmem, fizycznym i duchowym. Czyż

niesłuszna zwać fizyologią badanie prawideł, które władają życiem tego organizmu wszystkich organizmów? Nie wątpimy o tem, że p. Supiński świadomym jest tego: jak małym promykiem w tem wielkim słońcu nauki jest jego „Myśl“: wypowiedziała to sama skromność jego w przedmowie, a wyraźniej jeszcze w toku dzieła samego.

Cośmy wyżej nazwali „kosmosem duchowym“ nazywa Supiński umiejętnością powszechną i twierdzi słusznie, że do niej dojść musimy. Sciąga on wynikłe tę umiejętność do rzeczy ludzkich, bo duch ludzki nie może sięgać za obręby swego widzenia. Wszystko on widzi po ludzku i wszystko odnosi do siebie, ale tego winien być świadomym, że jego szczupły widnokrąg jest cząstką ogromnej widowni stworzenia, że krańce jego widnokręgu nie są świata krańcami. To stanowisko zająwszy, maluje nam Supiński w lekkich lecz barwnych zarysach „Postacie świata“ tj. obraz jedności, zmienności, ruchu i przemian, słowem życia przyrody, szczególnie naszej ziemskiej przyrody. — Obraz ten jako obraz nie jest ani wyraźny ani dokładny, boć musiałby sam za siebie stanowić obszerne dzieło. Lecz tu mniej chodziło o uwydatnienie lica przyrody jak o wyjaśnienie zasadniczej myśli pojedyńczemi przykładami z dziejów przyrody, by od tej myśli rychlej przystąpić do wysnucia dalszego wątku nauki. Myślą tą jest: Życie to ruch; ruch to przemiany. Przeobrażenia są życia cechą. Życie i ruch jest w całej przyrodzie, przyroda jest więc żywa, jest jednością żyjącą, jest organizmem, jest całością; a przeobrażenie jest matką rozliczności, przeobrażenie tworzy co chwila rzecz inną, lecz wszystkie te rzeczy, ta nieskończona rozliczność części stanowi jedną całość, jeden organizm przyrody. Dwa więc są pierwiastki istnienia: całość i części tej całości, i dwojaka musi być postać życia w przyrodzie, postać jednoczenia i postać rozdziału ustawicznego; a więc i dwojakiemu prawu musi ulegać to życie, którego prawa władanie objawia się w siłach pojedyńczych i sile powszechnej. Przyroda stoi na tych dwóch siłach: jest „organizmem, który utrzymuje całość częściami, karmi części całością.“ To nazywa Supiński „prawem odwiecznem, przeto powszechnem i niezmiennem istnienia“ bo „wszystko co jest, pod dwojakim pojawia się względem: każda pojedyńcza istota, każde ciało, każdy nawet pomysł człowieka, jest raz całością samą w sobie, raz częścią dalszej rozleglejszej całości.“

Już z tych tu rzuconych ogólnych zarysów „postaci swiata“ widzimy spólność powszechnego prawa władającego przyrodą i człowiekiem. To samo prawo organizmu włada ciałem, a zatem całą przyrodą, i myślą człowieka, a przeto światem umysłowym. Ta organiczność myśli ludzkiej jest rzeczywistym faktem, którego zaprzeczyć nie można. Ztąd wywodzi Supiński wprost twierdzenie że: „prawa świata fizycznego, powtórzyć się muszą w umysłowym świecie, istniejącym tylko w pojęciu człowieka.“—W „Wstępie“ oznajmił autor, że niechce opierać swych badań społecznych na przypuszczeniach *a priori*, odrzuca przeto wiarę w przeznaczenie“ tj. teoryę władania Opatrzności ustrojem społeczeństwa, równie jak teoryę układu (*contract social*). Twierdzi on, iż rzecz społeczna musi swoje pojęcie rozwijać z przyrody.

Zbadawszy więc powszechne prawo istnienia przechodzi do rozwoju pojedyńczych zasadniczych praw przyrody i stosuje takowe do rzeczy społecznej. Utwierdza go w tem stosowaniu praw fizycznych do świaţa umysłowego spólność fizyczna życia ludzkiego z całą przyrodą. Rozwija Supiński bardzo pięknie stronę fizyczną przyrody i spólność fizycznego życia człowieka z nią, lecz duchowy pierwiastek stworzenia, jego ustrój moralny, jest rzeczą zupełnie obcą nauce Supińskiego, i dla tego powiedzieliśmy wyżej, że autor nie podołał swemu zadaniu. Wszystkie duchowe potegi władające człowiekiem, które musiał wciągnąć w rachubę pisząc o rzeczy społecznej, odnosi on do prawideł fizycznych. Jestto prostą wynikłością wyżej przytoczonego zdania: że świat umysłowy istnieje tylko w pojęciu człowieka. Lecz w tem różnimy się ze zdaniem p. Supińskiego, bo nie wynika to według naszego mniemania ze stanowiska jakie zajął, by uznając istnienie świata umysłowego w pojęciu człowieka nie zapytał się: zkąd się wzięło to pojęcie? by uznając życie duchowe w człowieku nie uznać go, podobnie jak życie jego fizyczne, za cząstkę życia ducha w całem stworzeniu. To nie uwłacza bynajmniej ważności jego nauki, bo pominąwszy nader misterny wywód praw przyrody powszechnej i spólność z nią fizyczną człowieka, osiągnął on najgłówniejszy cel swój t. j. oparcie na prawach wszechświata całej fizycznej strony życia społecznego tj. ekonomii spółecznej i wierzymy, że przezto wprowadza ekonomię społeczną na nowe tory badania, ale tylko ekonomię, tylko fizyczną stronę życia społecznego.

Przypatrzmyż się temu wywodowi. Oto skreśliwszy postacie świata, gdzie okazał jedność całej przyrody i rozmaitość jej nieskończoną, oraz wyróżnianie się jednostek z całości i pochłanianie ich, czyli jednoczenie znowu w całość, prawo powszechne organizmu, podstawę życia, które jest ruchem: zastanawia się nad siłami władającemi tem życiem. Sił tych władanie jest prawem stworzenia. Jest ich dwie: siła rzutu i siła przyciągania. Siła rzutu jest podstawą istnienia jednostkowego, indywidualnego; ona to pędzi światy po niezmiernych kolejach, ona powodem geologicznych przeobrażeń w naszej ziemi, tych wybuchów namiętnych planety; jej skutkiem bujność roślinności i rozpłód świata zwierzęcego. Ten rozwój jednostkowego życia w skutek siły rzutu rósłby w nieskończoność, gdyby nie ukrócała jej niepohamowanego pędu siła przyciągania, przywracająca wszędzie jednostki na łono całości. Siła ta staje się siłą rozkładu, „gdy przyciąga i łączy jednostki lub pociągliwe nawzajem pierwiastki, to jest cząstki rozrzucone po ciałach oddzielnie istniejących“. Walka tych dwóch sił: rzutu i rozkładu, jest w całym wszechświecie warunkiem ruchu, życia, a zatem istnienia. Okazawszy nam w powabnych obrazach władanie tych dwóch sił „w powszechności“ t. j. w przyrodzie i fizycznem życiu człowieka, przechodzi do życia umysłowego.

Przeprowadzenie sił ruchu i rozkładu przez dziedzinę życia społecznego jest najważniejszą i naj-

*

ciekawszą częścią dzieła. Podobnie jak poszukując działania tych sił w życiu przyrody roztoczył przed nami S. szereg pięknych obrazów, tak stara się okazać władanie ich w świecie umysłowym przez odsłonienie pysznej panoramy dziejowych obrazów. Część obrazowa dzieła zapełnia większą część książki i czyni ją przystępną dla większego koła czytelników.

Objawami, czyli według S. narzędziami siły rzutu uzupełniającemi się nawzajem, są w człowieku wiedza i praca. Przez nie zdobywa on sobie w świecie stanowisko jako indywiduum, rozwija swoją potęgę, utrzymuje się jako umysłowa jednostka, osoba. Wiedzą i pracą, tj. siłą rzutu działającą w życiu społecznym, zwycięża człowiek przyrodę, czyni ją swoją własnością.

Siła rozkładu przeciwnie objawia się w życiu społecznem łącznością rodzaju ludzkiego w ciało jednolite, zbiorowe. Ludzkość jest całością pod względem fizycznym, jako oddzielny rząd zwierząt. Ale tę jedność stanowią „całości pełne“ (indywidua) kierowane każda za siebie, siłą rzutu. Jest więc w jedności rodzaju ludzkiego, podobnie jak w przyrodzie, zarazem nieskończona rozmaitość. Umysłowa jedność, skojarzenie po duchu, dzieje się tylko sądem i wolą ludzką. Tych owocem jest społeczność. Społeczność więc jest wyrobem ludzkim. Ale ten wyrób powstał na prawach przyrodzonych — prawem siły rozkładu, łączeniem a raczej niweczeniem życia indywidualnego na korzyść ogólnego organizmu. Pojawem widzialnym tej siły w indywiduach jest przekraczanie granic własnego jestestwa i wkraczanie w granice jestestw innych. Przekraczanie w rozwoju dalszym wikła rozstrzelone części i kojarzy węzeł społeczny. Społeczność jest tedy wprawdzie wyrobem ludzkim, ale wynika z prawa zasadniczego (praprawa) władającego wszechistnieniem. Więc i podrzędne prawa z tego praprawa wynikające panować muszą w społeczności. Takich liczy Sup. sześć. Pierwszym drugorzędnem prawem jest, że wszystko co jest, a zatem przyroda i człowiek jest darmo, tj. nienabyte i niezbyte, wszystko istnieje tylko dla siebie i dla ogółu. Drugiem takiem prawem jest rozmaitość, która w spółeczności stanowi różnorodność sił i środków. Ztąd wynika rozmaitość sposobów istnienia, różny sposób wywierania siły rzutu, a zatem różnorodność pojedyńczych działalności, wysileń i kierunków, czyli podział powszechnej przyrodzonej pracy, to jest trzecie prawo drugorzędne, które w społeczeństwie objawia się jako sztuczny rozdział zatrudnień. Czwarte prawo jest scieranie się między pragnieniem a możnością istnienia tak indywiduów jak całych rodzajów i wynikająca ztąd walka rodzajów, co Sup. nazywa wyścigami rzędów, a oraz walka indywiduów w łonie rzędów, wyścigi wewnętrzne. Piąte ztąd wynikające prawo jest stan bierny i oraz czynny tak pojedyńczych istot jak całości w przyrodzie, czyli równowagi świata powszechnego, a podobnaż równowaga praw i obowiązków w społeczeństwie, które nie są niczem innem, jak czynnością i biernością istot wolnych. Szóstem nareszcie prawem jest, że przyrody świat składa się z materyi i praw, społeczny zaś z wiedzy i wyrobów.

Skutkiem wrastania tych praw przyrodzonych w tworzącą się społeczność, jest tworzenie się pierwiastku życia społecznego. Tym pierwiastkiem jest zapas, nagromadzenie wiedzy i pracy, czyli raczej wyrobów, własność (przelanie wiedzy i pracy w przyrodę) i rodzina. Dalszym skutkiem tworzenia zapasu i utrzymania rodziny i plemienia jest zamiana zapasów i zamiana wzajemna wiedzy z pracą. Wszelka własność przechodząca przez zamianę od indywiduów do indywiduów, z rodzin na rodziny, z plemion na plemiona, tworzy jedną całość, zasób wiedzy i pracy społecznej, co jest w rozmaitych postaciach kapitałem, przemysłem, bogactwem.

Na tem nowem a rzeczywiście umiejętnie rozwiniętem pojęciu kapitału, jako zasadniczej podstawie ekonomii społecznej, mógłby autor zakończyć przygotowanie do ekonomii społecznej.

Jednakże potęga myśli tak płodnej w następstwa nietylko na polu ekonomii ale nauki społecznej w ogóle, nie dozwoliła autorowi poprzestać na tem założeniu podstaw ekonomii. Sama wzniosłość stanowiska, z którego S. pogląda na ludzkość jako całość a cząstkę większej całości wszechświata, wymagała od niego, by wykazał panowanie w rzeczywistości swoich wyrozumowanych zasad. Przenosi nas więc na pole faktów, i w nader pięknym pełnym życia wykładzie okazuje prawdopodobne formowanie się społeczności w czasach nie wyjaśnionych dziejami, uleganie jej przeobrażeniom dziejowym, przeobrażeniom, które sprowadza wszystkie na jedno prawidło: siły rzutu i rozkładu, wreszcie rozwój społeczności w przyszłym czasie. Rozumie się że Sup. przyszedł także do odkrycia prawa postępu w rozwoju społeczeństwa, tylko sposobem zapatrywania się różni się od innych.

Jako dowód pojmowania ludzkości w związku z całem uniwersum przytoczymy w końcu słów kilka autora: „Któż wie, czy wielkie, ale rzetelnie wielkie w dziejach ludzkich wypadki, nie są odległem odbiciem, ostatnim kręgiem wielkich gdzieś poruszeń w przyrodzie całej, będącej niepodzielną całością; — czy nie są skutkiem wstrząśnień, których dziś nie znamy, których wpływu nie czujemy jeszcze, a które może potomni dopatrzą, pojmą i wytłumaczą“.

Żałujemy że urząd sprawozdawcy z naukowej części zmusił nas do odarcia tego pięknego dzieła z jego artystycznych powabów, że brak miejsca nie dozwolił przytoczyć choć jednego z pięknych obrazów, w które obfituje to dzieło, będące pewnie jedynem w swoim rodzaju przynajmniej w naszem piśmiennictwie.

K. Widman.

KORESPONDENCYA.

Kraków dnia 6 lipca 1860 r.

Zasiadając do tego pierwszego listu do was, sądzę, że nie zgrzeszę, gdy zacznę od krótkiego skreślenia a raczej przypomnienia wszystkim znanych okoliczności, które na charakter naszego miasta ostatecznie wpłynęły i złożyły się na utworzenie dzisiejszej fizyognomii. Te słów kilka może wam posłużą później za klucz do zrozumienia niejednego

fenomenu naszego życia, który inaczej mógłby wam się zdawać ciemnym lub zagadkowym. — Nie powiem tu nic nowego, powtarzam, — zestawię tylko i zesnuję to, co w ogólności każdemu, jak się spodziewam, jest znane; — tylko że dzisiaj w tym miłym XIX wieku każdy tyle ma do odciągania lub sumowania na własny rachunek, że mu się za drugich sumować nie chce.

Kraków, lubo od czasu przeniesienia rezydencyi królewskiej przez Zygmunta do Warszawy, utracił dawną swą świetność i znaczenie, jednak jako miasto koronacyj i pogrzebów królewskich, zachował aż do czasów Stanisława Augusta godność jakoby drugiej stolicy państwa. Następnie po rozbiorze kraju, przetrwawszy niedługi czas pod obcem panowaniem, w r. 1815 postąpił znów na stolicę Rzeczypospolitej Krakowskiej, a przeszedłszy następnie w r. 1846 pod austryackie berło, po rozdziale Galicyi na wschodnią i zachodnią, jest aż po dni dzisiejsze stolicą części zachodniej. — Tak więc, chociaż faktycznie podupadł i schodził coraz niżej, pozornie jednak zachował dawny tytuł i rangę, i stał się podobnym do zubożałego człowieka świetnego niegdyś rodu, który czując swój upadek, sili się jednak utrzymać na stopie, na jakiej żyli jego przodkowie. — Naturalnym skutkiem tak nienaturalnego położenia są oczywiście mnogie sprzeczności, zkąd inąd niedające się wytłumaczyć częstokroć możnaby powiedzieć śmieszne, gdyby ich matką nie była zbyt traiczna przeszłość i teraźniejszość.

Z całej monarszej purpury, która niegdyś okrywała gród Krakusa, dziś w rzeczywistości pozostały mu tylko groby na Wawelu i kościoły. — Zdawałoby się komu, że to dosyć. Na pierwszych można się uczyć przeszłości, w drugich modlić się o przyszłość. — Ale niestety! świat ten, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, nie wyżyje samem, choćby nie wiem jak wielkiem wspomnieniem, i samą choćby nie wiem jak świętą nadzieją. Świat dzisiejszy, z wierzchu religijny i nabożny jak stara dewotka, ze wszystkich modlitw, które klepie ustami nie sercem, serdecznie jednę tylko prożbę z modlitwy pańskiej powtarza: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“ — i to powszedniego, w najpowszedniejszem tego słowa znaczeniu. Życie jego składa się z mnóstwa drobiazgów, potrzeb i potrzebek, intryg i intryżek, zabiegów i zabieżków, spotykających się i krzyżujących ze sobą, a tworzących razem pstrą i niby świetną mozaikę, w której rysunku trudno jednak dopatrzyć się jakiej myśli, oprócz myśli pokrycia rzeczywistego ubóstwa pozorną świetnością.

Otóż i stary Kraków, pod naciskiem nowego ducha czasu, potworzył w sobie wszystkie organa i drogi dla tych małych interesów, a wierny stanowisku, które nominalnie dotąd zajmuje, mieści w sobie wszystkie pozory i odcienia, wedle dzisiejszego pojęcia wielkie miasta charakteryzujące. — Znajdziesz tam i świat wielki składający się z panów i półpanków, znajdziesz i tak zwaną inteligencyę, i mieszczaństwo z kilku a nawet z kilkunastu złożone kategoryj, i klasę wyrobniczą, niby to coś nakształt proletaryatu; znajdziesz bankierów i spedytorów, złodziei i oszustów, teatr i dom obłąkanych, zakłady i towarzystwa naukowe i filantropiczne, koleje żelazne i fatalne bruki na ulicach, wystawy sztuk pięknych, rolnicze i t. p., spacery pełne kurzu, oświetlenie gazowe, słowem wszystko, co dzisiaj cechę stolicy stanowi.... Przepraszam, zapomniałem — nie mieliśmy dotąd wyścigów konnych; ale niechno jeszcze z parę lat tak poprosperujemy, to będą z pewnością i wyścigi; na konne może niewielu stać nas będzie, ale wyścigi zawsze będą.

Obok tych jednak wszystkich blichtrów wielkości, Kraków w rzeczywistości od dawna jest miastem małem, a wszystkie jego wielkości w nader homeopatycznych reprezentują się dozach. — Przejezdny człowiek, przyzwyczajony do panującego gdzieindziej ruchu, z zdziwieniem w biały dzień widzi prawie puste i bezludne ulice tego niby wielkiego miasta; — z uderzeniem godziny dziesiątej wieczór zasypia ono w najlepsze, jak ostatni parafianin; w księgarniach jego nie dostać czasem książki należącej do pierwszych umysłowej konsumpcyi potrzeb, tak jak w sklepach i kramach nie zawsze zaopatrzyć można wszystkie potrzeby materyalnego codziennego żywota. — Reprezentanci wszystkich niemal społeczności jego klas i koteryj tak są nieliczni, że się znają nawzajem z imienia, nazwiska, a nawet bliżej. Lecz im bliższa ta znajomość, tem silniejszą wszelkiemu zbliżeniu stawia się zaporę. — Tem hermetyczniej każdy zamyka się w swojem kółku, im dokładniej zna swoje i drugich granice. O żadnem zlaniu się, zespoleniu, mowy tutaj nie ma; — jeżeli stykają się czasami ludzie różnych koteryj, to zupełnie mechanicznie, zewnętrznie, tak jak np. styka się tłuszcz z wodą. Owszem, odosobnienie to do ostatecznych posuwa się granic, i są ludzie u nas, którzy wśród społeczności w której żyją, chodzą zupełnie osobno, niby odyńce wśród lasu, nie należąc właściwie do żadnej kategoryi, ani nie stanowiąc nawet przejścia, ogniwa między jedną a drugą.

Taki brak wszelkiej spójności fatalnie działa na życie nasze publiczne i paraliżuje wszystkie jego objawy. Każda ważniejsza sprawa, każda żywotniejsza kwestya niefortunnym u nas ulega losom, bo sąd o niej niema gdzie i jak się wyrobić. Kilka dość świeżych przykładów możnaby na potwierdzenie tego przytoczyć.

Podobny zupełnie widok przedstawia i świat nasz literacki. — Najpoważniejsze w tym świecie ciało, Towarzystwo naukowe krakowskie, czy to z winy swej organizacyi, czy to może jeszcze więcej swego składu, czy wreszcie prześladowane fatalnością, ciążącą u nas tradycyjnie na podobnych instytucyach, chociaż pozornie ogarnia w sobie znaczną część tutejszych ludzi pióra, samo martwe i bezwładne, nie może ożywiać ani zespolać w sobie literackiego życia. Redakcye istniejących w Krakowie pism peryodycznych i zbiorowych jak Czas, Ognisko, Tygodnik rolniczy i Biblioteka polska, exystują każda dla siebie, nie mając żadnego zbiorowego punktn. Wyszłe niedawno temu z pośród jednej z nich usiłowania, mające na celu skupienie, zbliżenie pewne, tak ich, jako też w ogóle rozerwanych cząstek inteligencyi miejscowej, ulegając strasznemu fatum, rozbiły się o jakieś nieokreślone nic, którego nikt wytłumaczyć nie potrafi.

Walne zgromadzenia towarzystw rolniczego i ogniowego, reprezentujące głównie interesa szlachty na wsiach osiadłej, i znakomite pod względem materyalnym, a wię-

ksze jeszcze pod względem moralnym prowincyi oddające usługi, i na stolicę naszą najzbawienniejszy, choć pośredni i chwilowy tylko wpływ wywierają. — Budzą one zaspane widmo publicznego życia i w widomych przed oczy nasze wywodzą je kształtach. Kształtyć te wprawdzie bardzo jeszcze niepewne i mgliste, niby ów przez Twardowskiego wywołany duch Barbary; — to też my nauczeni smutnym przykładem ś. p. Stanisława Augusta, ostrożnie bardzo wyciągamy doń ręce, z obawy, aby się nie rozpłynęło w powietrzu i nie znikło.

Czujemy to niby potrzebę tego życia, pojmujemy potrosze jego warunki, ale nie zrobiliśmy jeszcze ani kroku ku ich osiągnięciu. Niewyrobionego sądu indywidualnego nie chcemy wspierać sądem zbiorowym — żyjemy w najzupełniejszem rozpierzchnięciu.

Stan ten, najwybitniej może skaczący w oczy w naszem mieście, rozciąga się niestety w mniej lub więcej stanowczych objawach na kraj cały.

Stan ten staje nam na drodze do wszelkiego rozwoju w jakimkolwiekbądź kierunku, i sprawia, że każdy ważniejszy wypadek zastaje nas na przyjęcie swoje nieprzygotowanych.

Najostatniejsze dopiero na tem polu pojawy, są nieco pocieszające i dają trochę nadziei. Może rozpatrzywszy się jeszcze lepiej w koło siebie, zreflektujemy się i poznamy gdzie jesteśmy, a w którą stronę kierować się mamy; może wreszcie przejmiemy się tem przekonaniem, że tylko wspólną pracą i jednością zdobędziemy stanowisko, na którem godnie stanąć będziemy mogli w obec dzisiejszego położenia naszego; może uznamy, że miłość i zgoda wewnętrzna tak są dla nas dziś niezbędnemi, iż wszelkie jej osłabianie, wszelkie na nią zamachy, są zdradą rzeczy publicznej. Nie mówi się tutaj o wytykaniu wad ogólnych, lub ogólnych złych kierunków; — wiadomo, że takowym podpada każda ludzka społeczność, i że obowiązkiem jest każdego bacznego członka tej społeczności, wytykać je, i wskazywać drogę do poprawy. Ale mówi się tutaj o bezczelnem podnoszeniu i popychaniu pewnych kwestyj, których czas rozwiązania jeszcze nie nadszedł, a które obecnie wywołują rozdrażnienie, tylko na szkodę ogółu wypaść mogące. Mówi się także o mniej lub więcej uzasadnionem nawet nastawaniu na pojedyńcze indywidya, zwłaszcza takie, które nietylko w kraju, ale i za granicą znane są jako narodowe świeczniki. — Podobne wystąpienie usprawiedliwić mogą tylko takie fakta, na które godność narodowa milczeć nie pozwala; a i w takim razie nie powinny one być *con amore* obrabiane i rozwłóczone, ale wypowiedziane z powagą, z widoczną boleścią i krótko, aby nic w nich nie było nad to, co koniecznie być musi. W przeciwnym razie, jeżeli tych nie posiadają warunków, dzieją się z ujmą ogółu, wywołują w nim najniższej kategoryi stronnictwa, bo nie zasady, ale osobistości za podstawę mające, osławiają nas przed obcemi, i w każdym poczciwie a głębiej myślącym słuszne wywołać muszą oburzenie.

Rzuciwszy te kilka ogólnych uwag, które wypowiedzieć zdało mi się koniecznością, przystępuję do pojedyńczych ważniejszych naszego życia pojawów.

Na pierwszem tutaj miejscu stoją bezwątpienia: wystawa rolnicza i posiedzenia Towarzystwa ogniowego, które się jednocześnie odbyły. Wystawa świetniejszą była niż po inne lata, tak pod względem ilości i doboru składających ją przedmiotów, jako też pod względem elegancyi w urządzeniu. Ale nie myślę tutaj wdawać się w szczegółowe jej opisy, równie jak w szczegóły posiedzeń ogniowych. Znacie je z innych pism, a mianowicie z dokładnych sprawozdań C z a s u. — Zjazd obywateli z prowincyi był bardzo liczny, a charakter tego zjazdu, oraz udział jaki wziął ogół ludności naszej w tych że tak powiem uroczystościach krakowskich, ważniejszym jest może od samej wystawy i posiedzeń. — Przez całe cztery dni, obszerny ogród zwany Angielskim, w którym wystawa urządzoną była, od rana do zmroku zapełniały ciągle zmieniające się tłumy. Aleje wiodące do ogrodu wiły się pstrocizną jakby nieustających procesyj, a chociaż wstęp na wystawę otwarty był od godziny 8ej rano do 8ej wieczór, jednak przeciąg ten czasu zwiedzającym zdawał się za mały, i z trudnością przychodziło zamknąć ogród o wyznaczonej godzinie. — Każdy przedmiot wystawy gromadził koło siebie kółko interesowanych, objaśniano się wzajemnie, robiono uwagi, zawięzywały się dyskussye, które zacząwszy się naturalnie od dobroci przedmiotu, od praktyczności machiny lub narzędzia i t. p., z tego pola utylitarności schodziły częstokroć na inne. Najwięcej zajęcia budziła w ogóle żniwiarka ks. Podlaszeckiego jako wynalazek czysto krajowy; a lubo próby jej, po części może dla bardzo zielonego zboża, na którem się odbywały, po części dla niedokładności wyboru samych narzędzi, nienajlepiej wypadły i nie odpowiedziały całkowicie oczekiwaniom, jednakże wszyscy jednozgodnie prawie oddawali zasłużone pochwały samemu pomysłowi, który tylko pewnego jeszcze udoskonalenia potrzebuje, ażeby pożądane rolnictwu krajowemu świadczyć mógł przysługi,

Wycieczka w trzecim dniu wystawy do Czernichowa, na uroczystość poświęcenia świeżo założonej tam przez Towarzystwo krakowskie szkoły rolniczej, nosiła na sobie cechę prawdziwie obywatelskiego zjazdu. Serdeczność jaka tam panowała, — duch miłości, jedności i zgody, który przemawiał ze wszystkich podnoszonych tam głosów, jak dziwnie rzewnemi uczuciami przejęły serca wszystkich tam przytomnych, tak miłą otuchą powinny napełnić wszystkich tych, dla których rzecz publiczna nie jest rzeczą obojętną.

Niemniej żywy udział jak wystawa obudzały i posiedzenia Towarzystwa ogniowego. Sala teatralna, w której się odbywały, w połowie zwykle zajęta była nie-członkami, a galeryą do późna w noc napełniały kobiety. Jakoż zajmującemi rzeczywiście były te próby parlamentarnego u nas życia, jakkolwiek tą razą ograniczały się tylko zakresem dyskussyi nad paragrafami statutu, a zatem wprost obchodzić mogły tylko bezpośrednio interesowanych. Mimo zupełnego u nas braku wprawy we wszelkiej publicznej dyskussyi, kilku członków odznaczyło się jednak piękną wymową. Na czele ich stoi bezsprzecznie prezes przeszłego i tego zebrania, p. Leon Gołaszewski, który ilekroć głos zabierał, czy to jako prezydujący, czy też opuściwszy na chwilę prezydyalne krzesło jako członek towarzystwa, przemawiał zawsze z zadziwiającą płynnością, zdrowym sądem, prawdziwie obywa-

telskiem uczuciem, niekiedy z jowialnym humorem, a zawsze czystą, niepokalaną polszczyzną. — Po nim wymienić należy pana Adama hr. Potockiego, który jako prezydujący w komisyi statutowej, nieraz miał sposobność wymownie bronić ułożonych przez nią artykułów; Kazimierza hr. Wodzickiego, który jako wice-prezes zgromadzenia pare razy okazał niepośledni dar i talent w ujmowaniu słuchaczy, oraz p. Kieszkowskiego, którego wcale płynne a jasne przemówienia, odznaczała szczególniej wielka znajomość przedmiotu, nabyta przy agencyi jednego z istniejących towarzystw ogniowych.

Jako będące u nas na porządku dziennym, a mające także pewne znaczenie, zapiszę wam tutaj z kolei dwie nowiny, a mianowicie: że z upływem bieżącego roku swego istnienia, który się podobno z d. 1. października kończy, *Krakauer Zeitung* przestanie wychodzić — i że teatru niemieckiego nie będziemy mieli w Krakowie. Kładę te dwa wypadki obok siebie, dla zbyt widocznej między niemi analogii. Co do ostatniego, to ktoby chciał, mógłby napisać bardzo ciekawą i poruszającą choć smutną historyę walk sceny niemieckiej w Krakowie z przeciwnościami srogiego losu, walk, których ostatecznym rezultatem było mimo subwencyi w kwocie 10,000 zł. m. k., bankructwo czterech z kolei, jeżeli się nie mylę antrepryz, a wreszcie obecne sceny tej zwinięcie. Na teraz jednak zostawiam bieglejszym i tkliwszym od mojego piórom spełnienie tego pięknego zadania.

Teatr polski, na usunięcie się swego niemieckiego kolegi, zyskuje przedewszystkiem więcej swobody w poruszeniach, dalej wszystkie dnie w tygodniu na reprezentacye kiedy dotąd miał ich tylko dwa, zresztą dochód z balów, redut itp. — Co się tyczy subwencyi, to wysokie władze znać przekonane są, iż teatr polski w Krakowie obejdzie się bez tego zasiłku i dla tego nic mu zeń nie mają udzielać. Myślę, że wszyscy tutaj dzielimy w zupełności to przekonanie, i mam nadzieję, że postaramy się o to, aby i antrepryza również zmuszona była przystąpić do niego. —

Spółka zdrojowisk krajowych zakupiwszy wieś Szwoszowice pod Krakowem, ze znanemi już w kraju źródłami siarczanemi, utworzyła akcye po 1000 złr. jedna, z kilkoletnią wypłatą, sądząc, iż takie ułatwienie licznych jej zjedna akcyonaryuszów. Tymczasem inaczej się stało — akcyj dotąd bardzo mało rozebrano, a spółka uwięziwszy znaczny kapitał w Szwoszowicach, mocno się czuje skrępowaną w ruchach swoich, z powodu braku funduszów na konieczne koszta porozpoczynanych już tu i owdzie, i nieodbicie potrzebnych fabryk.

Jeżeli które z mnogich dziś u nas przedsiębiorstw zasługuje na uznanie i sympatyą, to przedewszystkiemi zasługiwaćby powinno na nie to, które ma na celu: ułatwić środki nabycia zdrowia w kraju, a utrudnić sposobność tracenia pieniędzy za granicą. — Dla tego trudno sobie wytłumaczyć tę obojętność dla spółki zdrojowisk krajowych, tem bardziej, że takowa obok moralnych i materyalne nader korzystne zapewnia rezultaty.

Z wiadomości literackich tyle wam tylko donieść mogę, że druk Długosza w drukarni Czasu rozpocznie się już niezadługo, a to od *Liber beneficiorum*, którego odpis obecnie się kollacyonuje i jest już na ukończeniu.

Niebawem także, w drukarni Wywiałkowskiego ma się zacząć druk Kadłubka, wedle rękopismu z XIII wieku odkrytego w Wiedniu przez Alex. hr. Przeździeckiego.

Z tejże drukarni jest już na wyjściu nader ciekawa kilkuarkuszowa broszurka, zawierająca przedruk opisu Krakowa, w rodzaju przewodnika, drukowanego już w r. 1603 u Siebenajchera w Krakowie.

„Katedrę na Wawelu“ Imc. ks. biskupa Łętowskiego znać już musicie.

W skutek znanego zrzeczenia się margr. Wielopolskiego, praw i obowiązków przysłużających mu z mocy testamentu śp. K. Świdzińskiego, na rzecz sukcessorów nieboszczyka upoważniony został przez tychże sukcesorów p. Józef Łepkowski, do odebrania w ich imieniu części biblioteki, znajdującej się obecnie w Krakowie. Odebranie to atoli dotąd nie nastąpiło w zupełności, gdyż pan Łepkowski w trakcie już czynności natrafił na przeszkody, które mu dokończyć jej nie dozwoliły. O rodzaju i zasadzie tej przeszkody, jak skoro się takowe nieco rozświecą, doniosę wam w swoim czasie.

Przy tej sposobności nie od rzeczy może będzie donieść wam, jeżeli jeszcze nie wiecie, że projektowane układy między Świdzińskimi a Krasińskimi, za staraniem głównie Aleks. hr. Przeździeckiego przyszły do skutku. Ordynacya wraz z całą rodziną Krasińskich przyjmuje na siebie obowiązek utrzymania biblioteki K. Świdzińskiego, w duchu i kierunku wskazanym przez tegoż w testamencie. Biblioteka otrzyma lokal stósowny dla siebie i na pomieszczenie bibliotekarza, oraz około 11 tysięcy złp. rocznego dochodu, nieliczác tego co przyjść może z nakładów.

Bibliotekarz niegdyś K. Świdzińskiego, przeznaczony testamentem tegoż do zajmowania tego stanowiska aż do śmierci, p. E. Nowakowski wstępuje, czy wstąpił już, do zakonu Kapucynów w Warszawie.

W końcu niech mi tu wolno będzie potrącić jedną jeszcze kwestyę, acz nie czysto krakowską, ale zarówno nas jak i was dotyczącą.

W „Encyklopedyi powszechnej“ Orgelbranda, w spisie współpracowników czytam massę znanych nazwisk z całej Polski. — Czy zrejestrowani ci mają rzeczywiście wszyscy udział w tem przedsiębiorstwie?... Wątpić się o tem godzi, sądząc po słabości niektórych umieszczonych już dotąd artykułów, które, odnośnie do zakresu w jakim każdy z powołanych na liście pisarzy pracuje, gdyby rzeczywiście z pod ich pióra były wypłynęły, inną miałyby wartość i postać.

Na wątpliwość tę naprowadziła mię jeszcze i analogia. Jest bowiem także jedno pismo peryodyczne, zwące się: Kuryer wileński, które także niemało ludzi pióra wymieniło jako współpracowników swoich. Tymczasem ja sam znam kilku z tych wymienionych, którzy nietylko z Kuryerem wileńskim wspólnie pracować nie myślą, ale ich nawet nikt nie zapytał nigdy, czy mają do tego ochotę *). — Redakcya liczyła widać na słabość i ociężałość ludzką, sądząc, że jednym protestować nie będzie się chciało,

*) To samo stało się także z imionami kilku lwowskich pisarzy. Przyp. Red.

drudzy protestować nie będą śmieli. I tak się też stało rzeczywiście. — Mimo tego nie przestaje to jednak być nowego rodzaju despotyzmem i gwałtem literackim, który po raz pierwszy na kartach historyi piśmiennictwa naszego zanotować przychodzi.

I toć to podobno już wszystko, com wam na ten raz z Krakowa napisać mógł i umiał. Jak znów co nowego nazbieram, nie zaniedbam podzielić się z wami, a tymczasem zostańcie z Bogiem! * * *

Rocznice historyczne.

19. lipca 1702 r. Bitwa pod Klisowem.

Zajęcie Warszawy przez Karola XII stało się niejako skazówką upadku Augusta II. Naród zniechęcony dawniejszemi z nim zatargami, a widząc nieudolność w obronie kraju, oswajał się coraz więcej z planem obioru nowego monarchy. Tak więc pozostał Augustowi jedyny środek utrzymania się t. j. wygranie stanowczej bitwy, któremby przełamał potęgę Karola XII w Polsce i powrócił sobie sprzyjanie narodu. Równie spieszył i szwedzki król z ostatniem upokorzeniem wrogiego sobie Augusta. Szukając wzajemnie okazyi znaleźli ją przeciwnicy pod Klisowem.

Według najprawdopodobniejszej daty 18 lipca 1702 zbliżyły się wojska z przeciwnych stron ku wsi Klisowu. Dowiedziawszy się August o nadciąganiu Szwedów, wysłał podjazd z tysiąca kilkuset ludzi w celu wybadania liczby i stanowiska nieprzyjaciół, który jednak został przez Szwedów rozbitym. Zaledwie jakieś ogólne wiadomostki zdołał August powziąść od powracającej części rozbitków, gdy przeciwnie Karol dostateczne objaśnienia z jeńców zaczerpnął. Ale niefortunny początek nie mógł zrazić króla polskiego, mającego wiele przewagi nad nieprzyjacielem. Prócz kilku — blisko ośmiu tysięcy szlachty polskiej — liczył August w swych szeregach do 16.000 świeżego i dobornego żołnierza saskiego. A złotem lśniące zbroje, hafty i galony, wreszcie huczna muzyka i znaczna ilość kobiet w obozie, zwiastowały dobry animusz wojsk króla polskiego. Przeciwnie towarzyszyła Szwedom wcale nie okazała skromność, zbiedzonym tylekrotnemi wysileniami, a i liczbą ledwie dwunastu tysięcy dochodzącym.

Już z rana 19 lipca zaczęto szykować się do boju. August II znając waleczność Polaków ustawił ich na czele lewego skrzydła wprost samego Karola. Prawe skrzydło zapełnili Sasi, mając przed sobą znaczny szmat błotnistego wygonu. Stosownie do szyku Polaków rozporządził Karol swem wojskiem. Sam stanął jak powiedziano z doborną gwardyą swą przeciw polskim hufcom, a lewemu skrzydłu, pod dowództwem szwagra swego księcia Holsztyńskiego na Gottorpie, polecił atakowanie Sasów z boku. Około pierwszej godziny w południe zaczęli Szwedzi walkę. Polskie szeregi przywitał gęsty ogień i nieustraszony atak gwardyi królewskiej Po niedługim oporze ujrzeli się Polacy zmuszeni do cofnięcia, a wpadając w szeregi Sasów niemało przyczynili się do zamieszania. Tymczasem wcale inny los towarzyszył walce na drugiej stronie linii bojowej. Atakowani z boku przez Szwedów ubili Sasi zaraz w początkach bitwy księcia Holsztyńskiego, i odparli mężnie napad. Chwilowe szczęście ośmieliło ich do zaczepki, gdy w tem zostali w tyle atakowani przez Karola. Wkrótce zeszła walka na pojedyńcze zapasy. Obaj królowie walczyli z wzorowem mężtwem spotykając się nieraz śród zgiełku. Po czterogodzinnej zaciętej walce zaczęli Sasi acz przeważni liczbą pierzchać, wzięci z dwóch stron w ogień, a wieczorem otrzymali Szwedzi plac boju. Z dobornego wojska saskiego poległo do dwóch tysięcy, a przeszło półtora tysiąca dostało się wraz z kobietami, artyleryą i całym obozowem bagażem w ręce zwycięzców. Znacznie mniejszą stratę ponieśli Szwedzi, podawaną zwykle na 1200 zabitych i rannych. A podczas gdy Karol XII jedyne prawie w życiu swojem łzy wylewał nad zwłokami poległego szwagra, uchodził August II z trwogą i rozpaczą do Krakowa. Wkrótce i tam nie stało mu schronienia, więc opuszczał i ten starożytny gród otwierając wrota powtórnemu, nieszczęsnemu panowaniu Szwedów w naszym kraju. *B. K.*

Kronika literacka.

— Pomiędzy najnowszemi zeszytami Biblioteki Polskiej Turowskiego otrzymujemy właśnie Poezye Andrzeja i Piotra Zbylitowskich, tudzież Życie Jana Zamojskiego przypisane Bohomolcowi. — Poezye Zbylitowskich, mianowicie Andrzeja, należą do wielkich rzadkości bibliograficznych. Niektóre tylko z nich miały w bieżącym wieku ponowne wydania, jako to Droga do Szwecyi króla Zygmunta III (w zbiorze Wójcickiego), i Żywot szlachcica na wsi (edycya Działyńskiego, Poznań 1853). To też właśnie tylko te dwa utwory zostały na nowo odbite w świeżo wydanym zeszycie Biblioteki Polskiej. Innych rzeczy tegoż autora nie mogąc się wydawca nigdzie dopytać, pozostawił ostateczne ich uzupełnienie szczęśliwemu trafunkowi w przyszłości; tymczasem zaś, chcąc zebrać wszystko, co obecnie po Zbylitowskim mamy, zamieścił obok dwóch rzeczonych poematów danych w całości — kilka luźnych tylko urywków z nieznanego już dzisiaj utworu Zbylitowskiego Wieśniak, o ile był takowe niegdyś przytoczył w dziełach swoich Euzebiusz Słowacki, który tę Zbylitowskiego publikacyę miał jeszcze całą przed sobą. Nakoniec dołączył p. Turowski jeszcze i dwa krótsze wierszyki: Fortunne lato i Kondycya szlachecka przypisując je także temu autorowi, to wszelako zdaje się być pomyłką. Dwa te wierszyki, wprawdzie wcale udatne, zbyt są drobne, aby się o nich tu rozpisywać. Ale wiąże się z niemi okoliczność, która może rzucić światło na osobistość Zbylitowskiego albo też na kwestyą co do innego pisarza, równie jak tamten, mało nam dzisiaj znanego, tj. Hieronima Morsztyna. I dla tego jedynie wspominamy tu o tem. Rzecz jest taka. Rzeczone dwa wiersze ogłosił pierwszy pod imieniem A. Zbylitowskiego p. Maciejowski, w Tomie dodatkowym swego Piśmiennictwa Polskiego. Wyjął je z rękopisu biblioteki kurnickiej, mieszczącego w sobie pisma różnych autorów XVI wieku, bezimiennie spisane. Znajdując tam przy poezyjkach, o których mowa, dopisek ołówkiem nieznanej ale późniejszej ręki, że to wiersze A. Zbylitowskiego, uwierzył temu i jak już wspomniano, ogłosił je pierwszy pod tegoż imieniem.

Na tem Maciejowskiego zdaniu polegając, powtórzył teraz to samo i wydawca Biblioteki Polskiej. — Z drugiej znowu strony wystąpił w Bibliotece Warszawskiej (1859 r. czerwiec) p. Mecherzyński z rozprawą o Hieronimie Morsztynie, poecie pierwszej połowy XVII wieku, i z licznemi w niej przytoczeniami z pism tegoż autora, nigdy dotąd jeszcze nie drukowanych, których cały zbiór w rękopisie co tylko odszukano w Krakowie. Pomiędzy wierszami przytoczonemi na próbę w rozprawie p. Mecherzyńskiego, spostrzegamy i owe dwa przez Maciejowskiego dawniej Zbylitowskiemu przysądzone utwory. W ten sposób tedy nastręcza się wątpliwość, nie tylko co do rzeczonych dwóch poezyi, ale względem całego zbioru kurnickiego i krakowskiego, czy przypadkiem nie mieści się w pierwszym jeszcze więcej utworów Morsztyna; albo w przeciwnym razie, czy w krakowskim za Morsztynowski uchodzącym zbiorze, nie znajdą się jakie pozostałości po Zbylitowskim? Wielceby się p. Turowski literaturze naszej przysłużył, gdyby się zajął rozjaśnieniem tej niepewności, a w każdym razie, gdyby ogłosił w Bibliotece Polskiej przebrańsze utwory z owego rękopisu Morsztynowskiego, o którym podał wiadomość prof. Mecherzyński w Bibl. Warsz.

Co się tyczy Życia Jana Zamojskiego, wystarczy przypomnieć pismo p. Batowskiego, tu we Lwowie w r. 1854 wydane p. t. Rajnhold Heidenstein i Franciszek Bohomolec, pisarze żywota Jana Zamojskiego. Okazał w niem p. Batowski, że żywot ten właściwie jest dziełem znakomitego dziejopisa naszego Heidensteina, który go dokonał w języku łacińskim.

Oryginał ten łaciński nigdy wprawdzie dotąd drukiem ogłoszony nie był, ale odpisy zdarzają się; tak np. posiada tutejsza biblioteka Ossolińskich kopię tego w rękopisie z XVIII wieku. Bohomolec przetłómaczył tylko to dzieło Heidensteina, a właściwie przywłaszczył je sobie, ani słówkiem bowiem nie wspomniał, że to praca innego, którą on sam tylko przekłada i parafrazuje. Żałować zatem należy, że i w tem wydaniu wyszedł znowu utwór ten Heidensteina pod imieniem przywłaszczyciela, i że przekład jego w wielu miejscach skrócony i odmieniony, nie został z łacińskim pierwotworem porównany i przywrócony do pierwotnej postaci.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.